

I/1080

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Lucjan Deniziak ps. „Orzeł”.

Urodziłem się w Wojtkowicach, pow. Bielsk Podlaski w 1926 r. i tam mieszkałem cały czas.

Jak Niemcy poszli na Wschód, to na Bugu nadal była granica. Najpierw do 1941 r. do Bugu była okupacja sowiecka, a dalej Generalna Gubernia. Od czerwca 1941 r. za Bugiem była nadal GG a u nas Ostpreussen.

„Stena”, którego trzymam na zdjęciu, to dostałem jeszcze w czasie okupacji, w 1943 r. Pochodził ze zrzutów. Już wtedy należałem do konspiracji i cały czas miałem pseudonim „Orzeł”. No i byłem przy rodziale amunicji. Do „Stena” to jak wiadomo była amunicja kal. 9 mm. Amunicja przysłała do nas z Okręgu lubelskiego. To było niedaleko, bo przecież mieszkałem nad samym Bugiem, a więc drogi tyle co przez rzekę. Przy tym wszystkim znalazłem się tylko przez zbieg okoliczności jako łepiek. To są sprawy zagmatwane. U nas, w naszej organizacji to nawet Niemcy byli: ppor. Józef Glaser - Niemiec sudecki i Fritz Schlingenhof z SS //. Ten drugi to należał do NSDAP. To byli bogowie. I właśnie on był do specjalnych poruczeń. Za dużo nie mógł, ale w szczególności mógł kogoś „smalnąć”. Zastrzelił i żadnych podejrzeń nie było.

Często przychodzili do mnie i rozmawialiśmy. Glaser to polsku umiał mówić. Jak mówił Schlingenhof to tłumaczem był mój ojciec, który bardzo dobrze znał język niemiecki, bo był kiedyś tłumaczem w sztabie generalnym w Petersburgu. W Rydze skończył Politechnikę. No i byłem łącznikiem pomiędzy nimi a organizacją. Były to niedobitki z frontu, które u nas pełniły służbę wartowniczą na granicy. Ja wtedy to byłem jeszcze młody chłopak. Do organizacji wciągnął mnie w wieku 16 lat pewien nauczyciel, który znał mego ojca i skierował mnie na łącznika. Jakimi drogami ci Niemcy nawiązali kontakt z organizacją, to ja nie wiem. Jako, że mieszkaliśmy przy samych barakach niemieckich, to z tymi Niemcami stale się spotykałem i dlatego właśnie ten nauczyciel wciągnął mnie do konspiracji. Tak blisko tych koszar mieszkałem, że po wodę do nich chodziłem, bo naszą studnię przegrodzili.

Wśród Polaków byli i tacy, którzy poszli na współpracę z Niemcami. Zabić konfidenta groziło zbiorową odpowiedzialnością. M.in. taką konfidentką była elegancka pani Chendoszko. Jej syn był w Schutzpolizei. Pochodzili z Ciechanowca //. Była bardzo atrakcyjna kobito, chociaż 40 lat miała. Przyjeżdżała do tych Niemców, którzy pilnowali granicy i prowadziła wśród nich wywiad, że oni są tutaj tacy liberalni w stosunku do ludności i donosiła do żandarmerii. Pieprzyła się z Niemcami. Materiały zebrane były przez nauczyciela pana Michowicza z Wileńszczyzny - to ten co mnie zaprzysięgał - i doszli do wniosku, że babe trzeba zlikwidować //. Od Ciechanowca do Bugu było 10 km. Ta Chendoszkowa przyjeżdżała na białym koniu. Zastanawiali się nad tym, któż Chendoszkowe zlikwiduje? Tylko Niemcy. I gdy któregoś razu przyjechała Schlingenhof i Robert Kreczman zabrali ją na spacer nad Bug //. W krzakach Schlingenhof pchnął ją i z „Mauzera” rąbał w plecy.

Na drugi dzień ludzie po cichu przekazywali sobie wiadomość: Chendoszkowa zabita. Rano ja sieczkę kroje, jak to na wsi, i przychodzi Schlingenhof i mówi:

- Luczian, Chendoszka kaput.
- Niecee? - zdziwiłem się - Niemożliwe.
- Jawohl - pokazał na siebie - Ich schliesse.

Przychodzi rok 1944. Wojska niemieckie wycofują się na Zachód. Ładują się na furmanki. Załadowali na nie m.in. broń. Na cekaemie, który stał na trójnogu to pisało: Fabryka broni - Radom.

Później strzelaliśmy z niego, to bił jak z armaty. W miejscowości Śledzianów coś tam zepsuło się w wozie i Glaser skrzył do lasu i z furmanką pełną broni i amunicji zgłosił się na konspiracyjny kontakt. Natomiast Schlingenhof przyjechał na koniu po dwóch dniach. Połacy ich ukryli.

Przyszła Armia Czerwona, ale oni jakoś się ukryli. Byli parobkami. Jak jeszcze byłem na wolności to Schlingenhof wyjechał do NRD i objął wysokie stanowisko u Wilhelma Piecka. Może był szefem bezpieczeństwa. Cóż tam był. On wywodził się z rodziny robotniczej i był antyfaszystą. Natomiast por. Glaser był w oddziale WiN-u Wąsowicza „Boruty” do roku 1947 r. // i działał na terenie obw. Jabłonna Lacka i woj. warszawskiego. Jeszcze w 1947 r. spotykałem się z Glaserem. Chodził w polskim mundurze, z orłem na czapce. Jak była amnestia w 1947 r. to Glaser ujawnił się. Miał kochankę we wsi Krzmiń, niedaleko Jabłonna Lackiej. Miała na imię Adela. Znałem ją. Podobno wyjechał, ale nie wiem dokąd.

W 1944 r. aresztowali mnie Ruscy. To cała historia. W lipcu przyszli do nas Ruskie. We wrześniu, w październiku ostrzeżenie poszło, żeby wszyscy członkowie Armii Krajowej zachowali ostrożność, gdyż jednostki NKWD mają już dokumenty w rękę i dokonują aresztowań w terenie.

W listopadzie, w dzień, zatrzymał się koło naszej małej, stojącej w lesie, chatki „Studebeker”. Ruskie przyjechali. Przyszli do mamy i pytają się:

- Babuszka, sama żywiesz?

- No nie, syna mam a stary gdzie poszed. - Ruskie porozmawiali trochę. Na stół nasypali tytoniu i robią sobie skrety.

- A przyjdzie?.

- Nu, przyjdzie na wieczór. - Porozmawiali i pojechali. Przychodzę wieczorem do domu i mama mówi, że Ruskie byli. No, mama niczego się nie spodziewała, ja troszkę byłem ostrzeżony przez takiego Szczęsnego (łącznik?) z Tworkowic. Potem 15 lat dostał. Był sądzony w Warszawie. Chyba jeszcze żyje //. No i włożyłem na strych i jak zwykle położyłem się spać na sianie. Lubilem tam spać. Miałem tam karabin 10-strzałowy schowany, żeby w razie czego kogo postraszyć. Nade mną była powała z desek aż do sufitu. Rano, była gdzieś tak 5 rano słyszę nagle, że drzwi się otwierają i ktoś mówi:

- Zdrastje, zdrastje! Wot, my kwam przisli na zawtrak. Ot, w gościne się wdajem. No co, wy jeszcze śpicie - pytają się wesoło. - Mam lubiła tak rano wstać, bo przędła te nici, jak to na wsi, a tata jeszcze spał.

- No tak, jeszcze śpimy.

- A gdzie synok wasz? - pytają się.

- A śpi na górze, na strychu - powiedziała mama niczego nie podejrzewając, zwiedziona ich życzliwym tonem i zachowaniem. - Wsypała mnie, a tak to może by i nie znaleźli, bo do mnie nie z sieni tylko z dworu się wchodziło. Tam drabinka była. Tych żołnierzy było z 7-miu, może 8-miu, w tym kapitan i lejtnant. I jak ten ich dowódca nie krzyknie na nich. Zaraz obskoczyli czatę i jeden lezie na górę z siekierą i latarko, i krzyczy:

- Dawaaaj! Schodź!. - Ja buty, spodnie ściągnęłem, to musiałem się ubrać. Mundur też nałożyłem.

- Bystrej! - Nie spieszyłem się jednak, bo jak usłyszałem, że to Ruskie, to starałem się ukryć karabin. Strzecha słomo kryta, to wepchnęłem w poszycie i zszedłem na dół.

- Siadaj - no i oni ze mno rozmawiajo. To, tamto. Aż tu w końcu odzywa się mój tata, który leży cały czas na łóżku:

- Szto takoj? Toż to nie jest żadne przestępstwo dzisiaj. O co tu chodzi? - A oni mówią, że ja mam pistolet, że należałem do Armii Krajowej, to, tamto. Ja mówię:

- Nic podobnego - zapieram się - ani ja należał, bo jestem młody 28 rok (dokumenty dopiero teraz przerobiłem na 26 rok), [ani mam broń-J.K.].

- Niczewo - odpowiedział Sowiet - u nas takie tak samo już walczo na froncie. Jeszcze młodsze od niego. - Chcieli też wiedzieć kto należy do organizacji i kto broń posiada, ale odpowiedziałem:

- Ja do żadnej Armii Krajowej nie należę i żadnych członków nie znam.

I dawaj rewizję robić. A na łóżku leżał mój płaszcz wojskowy, w którego kieszeni był pistolet. No i mama wzięła ten płaszcz - chytra kobieta, choć wiejska - i niby przewróciła się na łóżku i pod spódnicę schowała, a chodziła w takiej długiej. Położyła się i leży na łóżku, i zaczęła jęczeć:

- Ojej, mnie noga baleć zaczyna.

- Niczewo starucha, sadiś. Nic ci nie będzie. - No to mama usiadła na stołeczku i już nie ruszała się. Chytra kobieta, bo inaczej by mnie to wyspało. Sowiet zaczął mnie w końcu trochę straszyć:

- My тебе w Sibir uwiezom. Szto ty dumajesz? Na Sybirie wołki żiwut ili szto... Pajedziooom w Maskwu.

- Pajedziom - powiedziałem - W Maskwie żywiot tawariszcz Stalin...

- Pamaleńku, nie budź ty takoj gieroj. - No i zrobili to rewizję, nic nie znaleźli.

- Zabieraj się. - Ja mundur zapiął i - to człowiek młody to głupi - wzięłem taki pas, miałem elegancki - zapiąłem go. Przy tym pasie miałem „finkę” - elegancki bagnecik i idę między nimi odważnie.

- Wot kakoj ty chrawlennyj - mówi - malec. - Jakoś tych Ruskich się nie bałem, nie liczyłem na jakieś konsekwencje. Mama mówi:

- Trzeba ci coś... - i taką poszewkę do poduszki wyjęła, i włożyła do niej pół wiejskiego chleba i słoniny kawał.

- Praszczaj mamasza - powiedziałem - Ujeżdżaju na Sybir - zażartowałem.

- Job twoju mat' - zaklął Sowiet, gdy zobaczył, że żarty mnie się trzymają - Ty mierzawiec. My тебе damy Sibir. - No i pognali mnie ze 2 km do lasu. Tam stał samochód. I dawaj mnie przesłuchiwać. Żołnierze chodzą w koło samochodu a kapitan i lejtenant zabrali się za mnie. Potem pojechali jeszcze drugich znaleźć, których mieli na spisie. Siedzę na skrzyni tego „Studebakera” pod plandeką, a na przeciwko mnie Rusek z „Pepeszo”. Widzę, że to taki dziadziulka, no to wyciągnąłem słońię, urznąłem kawał - taka ogromna była - chleb to „finko” kroje i jem a Ruski patrzy się.

- Tawariszcz, może i ty pakuszajesz? - spytałem i nie czekając na odpowiedź odkroiłem kawał chleba i słoniny i podaję mu:

- Masz. - A on, jakby do złego zobaczył:

- Uuu, ty job twoju mat', bo тебе ubiju - skoczył.

- Ty dumnyj sabaka - mówię - i chleb położył na ławce i jak dla złego psa pchnąłem patykiem do niego. Ruski patrzy, patrzy i cap za ten chleb.

- Łooot, wkusnyje sało. Łot charoszyje - zjadał i chwalił - Ty znajesz, ja dwa dni (odsutki) nie kuszal - rozwiązał mu się język. A wpięprzał to sało z chlebem, że zaraz zjad. No to ja jeszcze jeden „glej” smałał mu tego chleba. Co tam jedzenia będę żałował. Ruski zjadł i dawaj ze mno po cichu rozmawiać:

- Słuchaj. Oni тебе będą straszyć, ale ty się nie bój. Młody jesteś, to тебе bić nie będą, ale

podpuchy będą robić. Ty się nic nie bój. Oni ciebie nie zabiją. Będą ci strzelać... - znał już ich metody - Dla nich nie istotne, czy ty winien, czy nie winien. Jak powiesz tylko tyle - pokazał na koniec paznokcia - to już przepadłeś.

- Dobra - powiedziałem. - Minęła chwila czasu. Przyjeżdżają z tych łowów. Nikogo nie złapali. Przychodzą do mnie i siadają na tej ławce. Ten który siedział obok, to był w stopniu porucznika, w wieku ok. 40 lat. Dostatecznie ładna twarz, ale drugi - ten kapitan - to miał twarz po przebytej ospie. Taki straszny był ten wyraz jego twarzy, że wystarczyło tylko na niego popatrzeć i już nie trzeba było, żeby on bił. O Jezusie kochany, jaka to marnota była. Cały zeszpecony tą ospą. Żołnierz wysiadł i pyta:

- Jak ciebie zwać?

- Lutek.

- No Lutik, ty będziesz z nami pracować, tylko musisz nam powiedzieć... Jak u ciebie garod? Ciechanowiec?

- Tak, Ciechanowiec.

- Ty będziesz moim komendantem Ciechanowca. Bo widzisz: wojna się skończy i Polska budżet zwiększa. Wszyscy nasi komendanci będą a ty będziesz naczelnikiem miasta. Ale ty będziesz z nami pracować?

- No pewnie, że tak - przytaknąłem gorliwie.

- Ale ty musisz powiedzieć - i wyrzucają mnie to, tamto. Dobrze informacje mieli, dobre rozpoznanie. Nareszcie ten porucznik niby tak mimochodem mówi do mnie:

- Ty parabele masz?. My ci pistolet damy, no musisz mieć ze sobą - i położył mi na kolana. - Przestraszyłem się i odruchowo odrzuciło mnie do tyłu, zatrzęsłem kolanami i mówię:

- Zabieraj, bo ja boję się, że zabije się.

- Ty jebiesz twoją matkę - zaśmiał się oficer - ty taki nie taki. Wtedy ten drugi, ospowaty, wyjął „Tetenkę”, otworzył magazynek i po kolei wyrzuca naboje w czapkę. Wyjął zamek i z powrotem po kolei ładuje te naboje w zamek. W końcu załadował wszystkie, zarepetował broń, spojrzał spod łba na mnie i jak nie skoczy do mnie do pistoletem:

- Jebiona matka - mówi - w Rosji jego wieści? Ubit, puszczaj, niech nie jeździ, na polskiej ziemi. Nam wrogów nie ma. Jebiona matka, mierzawiec - cedził przekleństwa dokładnie przez zęby - ty takoj... - i do mnie z tym pistoletem. Po latach muszę stwierdzić, że nie zlekłem się, bo z Rosjanami dużo obcowałem i nie bałem się ich. Po chwili bał się - Rosjanin strzelił mi koło głowy, a ten drugi (porucznik) za rękę go złapał i dawał się szamotać, a lufa pistoletu tańczyła we wszystkich kierunkach i co chwila koło mojej głowy buch, buch - a ja patrzę w sufit i widzę, że na pładce to tu, to tam pojawia się dziurka. A oni kotłują się obydwa, i czapki im spadły, i przewrócili się. A to pic na wodę. Rękę mu skręcił, gniecie jeden drugiego. W końcu porucznik zabrał mu ten pistolet, usiadł zdyszany, czoło otarł z potu i wzdycha:

- Ojej, ojej. A jak twoją matkę, ty kapitan. Kogo szwanc cię dał gwiazdę kapitana? Ty durak, on spudłaj. Przynajmniej wsio, szto skazet. On budżet jeszcze z nami pracował - tłumaczy i wskazuje na mnie - On pójdziot z nami na pabiedu w Berlin Niemca dabit. On sam charoszyj człowiek. Jebit twoją matkę - zwrócił się do mnie - o widzisz, chciał ciebie ubić. Widzisz jaki on głupi, a ty jeszcze taki porządny chłop. Ja z twoich oczu wyczytałem, że ty dobry chłopak.

- Gadaj sobie - pomyślałem. Kapitan trochę posiedział i po chwili mówi:

- Tawariszcz lejtenant. Oddaj pistolet. Ty dumnyj... - Oddał mu pistolet.

- Otdaj amunicję - on tam miał amunicję, ale dla picu tak mówił. Lejtiennat oddał mu, ten za-repetował i znowu kanonada. I potem jeszcze raz urządzili takie przedstawienie.

W międzyczasie zajechaliśmy do Ciechanowca, z Ciechanowca do Bielska i do Białegostoku. Tam do wagonu i kierunek: Kotłas. To jest na północ od Moskwy. Tam była selekcja. Transporty rozchodziły się i do Archangielska i do Workuty. Nie wiedziałem kiedy i czy wogóle wrócę, bo nikt mi nie powiedział na ile lat tam jadę. Powiedzieli tylko: Wojna się skończy, odbudujecie Sowietskij Sojuz i wtedy wrócicie do domu.

Podróż trwała dwa tygodnie. W wagonie siekierą był wyrąbany dół kloaczny. Było nas może gdzieś z 50-ciu w tym wagonie. Ze dwa razy dali jeść w drodze. Kto umarł, to go wyrzucili w czasie postoju na stacji. Człowiek to był nieprzebranej siły, bo młody. Trudno mi powiedzieć ilu zmarło, bo czasami było tak, że w jednym kącie umarł, a w drugim o tym nie wiedzieli. Napchane przecież było jak śledzi. Wagon był dwupoziomowy, to dechów jeszcze nałożone. Pić nie dawali. Chleba to może ze 4 razy dali jeść. Podróż może nie trwałaby może tak długo, ale to stali gdzieś godzinami na poboczu, to pchną gdzieś, diabli go wiedzą gdzie. Człowiek nie wiedział, bo przecież okna zakratowane, zabite. Tylko przez szpary pomiędzy deskami cokolwiek można było zobaczyć.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce już po trzech godzinach poszliśmy na „uczastok”, czyli na miejsce pracy. To baraki były. Żarcie na kijach wisiało. Jedzenie było obskurne. Jakaś „bałanda”. Nie wiem co o było. Takie żółte i pieczące. Tylko młody dał radę przeżyć. Gorzej było tym, co popadli do bloku karnego, bo i tam można było zasłużyć się na specjalnej selekcji. Obowiązywał tam obostrzony regulamin.

W barakach to był syf. Żadnej higieny przecież nie było. Całe naczalstwo, ci główni nadzorcy to mieli dobrze, a żołnierze przeciętnie to też czasami zjedli to samo co i obozowcy.

Polaków było tam bardzo dużo i Ruskich, i Ukraińców, jakichś Tatarów i innych. Kobyty też były, tyle, że w oddzielnych barakach. Kryminalnych nazywano: „urczki”-„suki”. Polityczni to była oddzielna grupa. Ja byłem młodym chłopcem i mogę powiedzieć tylko o sobie, że wobec mnie nie było żadnych wrogich wystąpień ze strony więźniów kryminalnych. Władze zresztą starały się rozdzielić [politycznych i kryminalnych].

W moim baraku było ze 160 ludzi. Spalimy na dwupiętrowych drewnianych pryzkach. Nie wiem tego, ale wydaje mi się, że raczej jakaś selekcja była i kryminalnych z politycznymi nie mieszała. Rozmawiałem ze starszymi ludźmi, to opowiadali mi, że kryminalni lubili się wyżywać na innych. Często podstawiani byli przez dział specjalny do złamania politycznych. Nie pamiętam, by w moim baraku zdarzały się jakieś napady. Owszem, bywało, że czasami pajdkę chleba jeden drugiemu ukradł, ale tak to ludzie, którzy byli z terenów Polski to raczej się szanowali. Starsi pouczali tych młodych, żeby jakoś tak... .

W Kotłasie pracowałem przy rąbaniu podkładów w lesie. Zwykły dzień wyglądał tak: pobudka o godz. 6 rano, mycie się, potem chleb dawali i kawę, czasami kawał śledzia tak twardego, że siekierami go cięli. Słone to było tak, jak by sama sól była. Ryba była zasolona i zamrożona. Ryba była ogromna, miewała metr a może i z półtora. No to smalnął po niej siekierą i rzucał każdemu kawał jak psu. Na obiad dawali w pracy tej „bałandy”. W zasadzie była to kapusta, kasza, mąka. No, żeby to było gęste, to by dobrze było, ale to było takie rzadkie.

Żadnych dodatkowych ubrań w czasie zimy nie dawali. Każdy miał watówkę, a tak to było wszystko obskórnie ubrane. Jakieś szmaty na nogach poobwiązywane. Każdy radził sobie jak mógł. No dawali, nie można powiedzieć [jakieś ubrania-J.K.], ale to wszystko było jakieś takie wybrakowane. Była taka choroba „Cynga”, to ludzie marli masowo na to, bo to wszystko marne było. Lekarze dawali

jakaś maść do smarowania, ale co to pomagało. Przy jakiejś epidemii dawali zastrzyki, ale co z tego...

No mi jakoś udało się uniknąć choroby, czy jakiegoś wypadku. Niemniej jednak pod koniec to ważyłem 42 kilo. Noga w udzie była cieńsza niż w łdce. Miało się wrażenie, że kolano jest po prostu ogromne. Pomimo tego jakoś dawałem radę wyrobić normę, bo kto nie wyrobił to mniej jeść dostał. Nie mogłem pisać żadnych listów do domu, i też nic stamtąd nie dostawałem. Całkowity brak kontaktu.

Wróciłem na wiosnę 1946 r. przez Białą Podlaską. W tym czasie zwalniali z Kaługi, z Karagandy, Kaługi, Workuty, z Archangielska. Chyba coś było podpisane, bo dużo ludzi jechało. Te eszający, transporty kierowali do Polski z rozmaitych stron.

Po rozwiązaniu III Brygady powstały trzy patrole: „Wydry”, „Osy” i „Gołębia”. „Gołąb” udał się na teren powiatu grajewskiego, „Wydra” pozostał na terenach na zachód od Czyżewa i Ciechanowca, okolice Wysokiego Maz. i Bielska Podl. Mieliśmy tu duży zaciąg.

Na początku grudnia 1946 r. „Osa” został zastrzelony przez Edwarda Piwowarskiego ps. „Lew” i przeszedł na stronę UB. Razem z nim był Kazimierz „Jaszczur” // . Ten wyemigrował gdzieś na zachód. I oni dopiero, w szczególności „Lew” zaczęli sypać. Najbardziej dotknęło to naszą wieś Wojtkowice. Sprowadzili specjalne oddziały operacyjne z Warszawy, było tam sporo tych ruskich doradców, Urząd Bezpieczeństwa. 24 grudnia 1946 r. aresztowali moich kolegów i mnie. Wśród nich pamiętam, że aresztowani byli m.in.: Lucjan i Zygmunt Marchel, którzy po kilku dniach zostali rozstrzelani. Przyjechał sąd polowy i na miejscu we wsi... Zygmunt był kiedyś w oddziale u „Bitnego” (miał pseudonim „Sternik”), a potem przeszedł na „siatkę” // . Był dowódcą plutonu na „siatce”.

Co najgorsze było, to to, że nie było żadnego tłumaczenia na UB, ponieważ „Lew” stawał nam „naocznie” rozpoznając w nas członków organizacji. No i ja przyznałem się do posiadania broni, bo on dał im niezbite dowody, że ją mam. Oni w okrutny sposób nas katowali. Wiedziałem, że ta broń, o której on mówił, że ją mam, to już jest u drugiego, więc ja ratując się powiedziałem, że tak, mam i pojechaliśmy w teren, do rodzinnej wioski. Miałem oddać tę broń.

To było wieczorem 25 grudnia. Wtedy właśnie aresztowali „Sternika” gdzieś o 7 wieczorem. Ja, po oddaniu broni - wskazałem gdzie ona była ukryta, to była chata w lasu - ręce miałem związane na plecach pasem. No i kiedy oni spisywali w tej chacie protokół ze znalezienia tej broni (było ich siedmiu: 4 oficerów i 3 żołnierzy z tym, że łącznie to było ich ze stu) jej numer, ilość amunicji - to była „Pepesza” - jeden z pilnujących mnie przyparł mnie do ściany i mówi: Ty skórwysynu, jutro już koniec twojego żywota. Wiedziałem więc, że jeżeli nie wykorzystam tego momentu, żeby uciec, to innego już nie będzie. Serce mi mało z piersi nie wytrysnęło, nie mogłem zdecydować się na ten moment. Nie byłem pewny, czy to już jest tak okazja. Wreszcie wszyscy rozeszli się po lesie, a przy mnie pozostał tylko jeden wartownik. Musiałem to wykorzystać. Powoli wysunęłem do przodu, tak że czułem, że zastawiłem mu nogę i wtedy lewym barkiem uderzyłem go gdzieś poniżej twarzy. Wartownik padł na plecy, a ja wyskoczyłem przed dom. To była zima, tak że przed domem ziemia w tym miejscu była wyslizgana. Biegłem nadal ze związanymi z tyłu rękami. Pas miałem tak mocno zaciśnięty, że ledwo mogłem oddychać. Podbiegłem pod taką górę a on krzyczy: Stój skórwysynu!.

ale ja - no cóż - idę do przodu. Wtedy wartownik „uderzył” serię w kierunku mnie. Dzieliło nas jakieś 30 m, więcej chyba nie. Biegłem pod tą górkę w lesie, to widziałem jak seria tych pocisków błysnęła po zmarzniętej ziemi przede mną. W tej chwili zrobiła się istna kanonada. Wszyscy strzelali, ale Panu Bogu w okno, po to by mnie zdezorientować, bym nie próbował dalej uciekać.

Biegłem polem i kierowałem się w stronę lasu. Kiedy już widziałem, że już stracili mnie z pola widzenia, wtedy zwolniłem i szedłem pomału. Popeniłem jednak taki błąd, że skierowałem się na dom pod lasem, na kolonii, w którym mieszkał członek organizacji Stanisław Kamiński //. No i podchodzę do lasu, wyszedłem już na drogę, i z odległości około 20 m widzę, że stoją pod sosną dwóch ludzi. Pomyślałem sobie, że to może ten Kamiński ze swoim synem, słysząc taką kanonadę, wybiegli przed dom i skryli się w lesie obok domu. Idę więc do nich. Zrobiłem krok i nagle słyszę: Stój! Ręce do góry! - Błyskawicznie zawróciłem i znowu biegiem na pole, bo drogę do lasu miałem już odciętą. Śniegu na polu nie było, tylko gdzieś niedaleko leżały niewielkie jego plamy. Posypały się za mną serie z automatów. Po chwili dostałem pierwszą serię w lewą nogę. Z bólu podskoczyłem do góry. Kule przeszły na wylot. Druga seria trafiła mnie w pośladek. (Ta kula po dzisiejszy dzień tam siedzi). Znowu słyszę krzyk: Stój! - Przerażony stanąłem. Po chwili żołnierz podbiegł do mnie. Wtedy, wstyd się przyznać, ja w płacz. Taka emocja się we mnie wytworzyła. Mój Boże - przemknęło mi przez głowę - tyle pokonałem i prawie udało mi się uciec i teraz już złapali... . Stał się jednak cud. W tej chwili, gdy żołnierz podbiegł do mnie i chwycił mnie za lewą rękę, ja z tyłu rozerwałem pas. Więc jak mu „smalnąłem” z lewej ręki - skąd siła, skąd odwaga? - to padł na ziemię, a ja

od razu znów zryw do biegu. Znowu usłyszałem okrzyk: Stój! - i zaraz po tym dwie serie i cisza, w której słyszałem, jak szamocze się z zamkiem, by zmienić magazynek - wydaje mi się, że miał 32 strzałowy „peem”. Dzięki temu odskoczyłem na tyle, że zrezygnowali z pogoni za mną. Ja jednak wolałem już nie ryzykować i jeszcze co najmniej z 4 km biegłem. Zrzuciłem płaszcz, rozpięłem pas, zrzuciłem buty, żeby nie było echa i w samych skarpetkach dalej. Było może 10 stopni mrozu, ale ja tego nie czułem. Biegłem polem w kierunku wsi Wojtkowice Dady. Niesamowicie lała mi się krew z tej przestrzelonej nogi, słyszałem jak regularne pulsowanie krwi: pss, pss, pss. Próbowałem przytrzymać tę ranę ręką i jakoś tamować, ale co jakiś czas to włosy poprawię, to twarzy dotknę, że umorusałem się tą krwią, że nie byłem podobny do człowieka.

Gdy miałem już do wsi jakieś 50 m, postanowiłem, że trochę odpocznę przy takim płocie z żerdzi. Usiadłem na kolana, trochę położyłem się, wzięłem śniegu do ust, próbuję wstać..., i nie wiem co się dzieje. Wstać nie dam rady. Absolutnie. O Jezu kochany, a co to z tego będzie? - pomyślałem przerażony. Podsunąłem się do tego płotu na łokciach i kolanach, złapałem się za żerdzie i tak trzymając się płotu, niemal sparaliżowany doszedłem powoli do drogi. No już z 15 m dzieli mnie tylko od najbliższej chaty. Puściłem się płotu, padłem na ziemię i czołgając się na boku po tych zmarzniętych grudach jakoś dopełzłem wreszcie do budynku. Na kolanach do sieni, tam leżał taki kamień, wlałem na niego i dzięki temu sięgnąłem do klamki i otworzyłem drzwi. Okazało się, że jest tam taki pan Stanisław Kamiński, który pochodzi ze wsi Sterdyń //. Znałem go. Panie Kamiński - zawołałem - proszę mi udzielić ratunku.

- A kto to jest - spojrzał na mnie przestraszony, bo byłem przecież cały zachlapany krwią.

- Lutek - odpowiedziałem. - Wreszcie poznał mnie. Zaraz z jeszcze jednym panem - był to przecież pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia - wzięli mnie pod ręce, zdezynfekowali rany wódką, obandażowali i zaprowadzili nad rzekę Nurzec. Tam do łódki, przepłynęliśmy rzekę i udaliśmy się do wsi Ślepowrony. Jeden z młodszych niósł mnie na plecach. Zanieśli mnie - na moją prośbę - do mego znajomego do Stanisława Dmochowskiego //. To była zacna rodzina. Wspomagali nas. Jeszcze

dziś żyją. Tam, u nich, to był cały nasz punkt oporu. To byli bardzo dobrzy ludzie. Tam jak spojrziałem w lustro, to byłem jedną kupą krwi, tak się pomazałem. Jego żona jak mnie zobaczyła, to zemdląła, a Dmochowski też nie poznał:

- Kto jest? - spytał się.

- Lutek - odpowiedziałem. Raz dwa zajęli się mną. Święta im zakłóciłem, ludzie się zbiegli, szmaty, koszule rwą na bandaże, wodę znoszą, myją mnie. Myśleli, że to coś poważnego, a ja tylko dwie rany miałem. Przebrali mnie, zabandażowali nogę, dali ruskie spodnie watowe i mówią:

- Cóż, odwieziemy ciebie, bo tu nie możesz być - a rzeczywiście słyhać tu było tą strzelaninę, widać było rakiety. No, każdy się czegoś bał. Więc dałem im adres, gdzie mnie mają odwieść. Zawieźli mnie do takich Zawadzkich. Ci też, za chętnie nie chcieli mnie przyjąć. Rano, o godz. 5 odwieźli mnie dalej na punkt do Kramkowa koło Ciechanowca. Znałem te punkty łączności, bo byłem łącznikiem.

Rano, jak się obudziłem, to zobaczyłem krew na podłodze. Przeciekła przez bandaże i spodnie. Tyle tej krwi było. Ja byłem już tak osłabiony, że nie byłem zdolny łyżki do ręki wziąć.

Wreszcie trafiłem do polowego szpitala NZW. Mieścił się we wsi Dmoszki, 6km od Bogut. To był taki szlachecki zaścianek w czystym polu. Było tam tylko kilka chałup. Znalazłem się w domu u Aleksandra Dmochowskiego. Opiekował się tam nami lekarz z Ciechanowca Paweł Olszewski//. W Pasłęku mieszka nasza sanitariuszka, żona Staśka Niewiarowskiego, Zosia Lipska, która opiekowała się mną. Oczywiście szpital to za dużo powiedziane. Była to po prostu nasza melina u jednego z gospodarzy //. W szczególny sposób zaopiekował się mną płk. „Błękit”.

Niedługo potem dowiedziałem się, że w tym samym czasie, gdy uciekłem aresztowali mego tatę i osadzili w więzieniu. Tato miał wtedy 70 lat. Ubecy wściekali się, tak im zależało na mnie. Nie wiem dlaczego, może tak samo zależało im na każdym innym. Tatę wywieźli do Bielsk Podlaskiego i tam, starego człowieka, poddali nieludzkim torturom. Na drugi dzień przyjechali i zabrali konia, dwie krowy, wóz, trzy świniaki. Wszystko co miało imię. Nawet taką wiejską pościel i siennik ze słomą wynieśli na podwórze widłami i spalili. Wszystko zniszczyli kompletnie. A mama staruszka - aż ciężko mnie wspominać - poszła w świat, na żebry, na dziady. Tata w więzieniu, mnie nie ma.

Na szczęście ogłosili w styczniu amnestię. Nawiązane zostały kontakty z UB i warunek był taki: ja się ujawniam, a oni wypuszczają ojca.

W zasadzie organizacja enesztetu zabraniała ujawniania się swoim członkom. Ujawniać się można było tylko w szczególnych przypadkach. No i pułkownik ze względu na moją funkcję, jaką pełniłem, zwiadowcy, (prawdopodobnie byłem - jak na owe czasy - dosyć operatywnym chłopcem) kazał mi się ujawnić, co miało mi ułatwić poruszanie się w terenie w przyszłości, bo przecież byłem zdekonspirowany i nie mogłem się poruszać po terenie. Gdyby miał jednak dokument, to byłoby znacznie łatwiej.

No i po moim ujawnieniu wypuścili tatę. Wrócił do niczego. Ja nadal pozostałem w organizacji. Byłem do specjalnych poruczeń u płk. „Błękita” i u „Wydry”. Byłem dumny z tego, że mam ich zaufanie, że takiego zwykłego, prostego chłopaka dopuścili do takich tajemnic. Miałem nawet podane specjalne punkty na pułkownika.

Na przełomie 1946 i 47 r. Urząd Bezpieczeństwa w Białymstoku przyjął metodę jako konfidentów puszczanie w teren jak największej liczby żebraków, tzn. dziadów. Wiadomość o tym dotarła do Okrę-

gu i przyszedł rozkaz rozwalać wszystkich bez wyjątku. Taki był bezwzględny ten nasz cały dowódca.

Jeśli chodzi o tą bitwę pod Brzozowo-Antoniami to nie jest prawdą, że kierowcę spalili żywcem. Dostał z erkaemu w czasie walki. Ten wrak jego samochodu to jeszcze w 1947 r. leżał. Widziałem go jak kilka razy tamtędy przechodziłem w 1947 r. Tak się w humanitarny sposób wtenczas nasi obyli z żołnierzami, że wszystkich żołnierzy zwolnili. Pięknie, ładnie puścili. Chłopaki śmieli się i opowiadali jak to było. „Buras” („Bury”) wyszedł, on takie nogi kosmate miał, i zarośnięty na klatce piersiowej, spytał ich gdzie oni jechali, więc odpowiedzieli:

- Mówili nam ubowcy, że do „Burego” na obiad.

- Ja wam dam obiad, ale czerwony - odezwał się „Bury”. - „Ładunek”! - zawołał i zaraz wytlukł ubeków. A żołnierzy wszystkich wypuścili. Ustawił ich i powiedział:

- Przyjrzyjcie się, to ten faszysta, ten bandyta do którego na obiad jechaliście. - Jeden z oficerów to jeszcze ranny był. Kula przeszła przez usta a wyszła przez ramię. Widocznie usta miał otwarte, bo zębów nie miał wybitych. To „Cichy” tak go smalnął z „dziesiątki”. No to opatrzyli go, jeszcze dali trochę pieniędzy. Nawet major był z nimi. Też go puścili. Ja w czasie tej „awantury” byłem w odwodzie. W odwodzie był też „Gołąb”. Drużyna poszła też na ubezpieczenie, a ja zostałem. Staliśmy na skraju lasu, były tam ze 3 erkaemy, i zabezpieczaliśmy odjazd od strony drogi. Na ubezpieczenie wysłał nas „Wydra”. Pamiętam, że był wtedy ze mną „Mościcki”. Jego później rozstrzelali. Był też „Dumny” - Jan Zabuski, „Arkadek” //, i ktoś jeszcze. Ja i „Arkadek” byliśmy erkaemistami i jeszcze ktoś.

Później pchaliśmy się gdzieś na Sokoły czy gdzieś. Nie szliśmy w pełnym zgrupowaniu, tylko różnymi drogami. Każdy oddział szedł inną drogą. Moja grupa liczyła około 3 drużyn, czyli około 30-35 ludzi.

Wiem, że kilka dni później, było drugie starcie. Oddział tam przesunął się, ale nie w pełnym komplecie. Tam m.in. zginął „Dunajewski” i jeszcze ktoś. Grupa „Wydry” szła oddzielnie i nie brała udziału w tej walce. Tam prawdopodobnie brały udział i winowskie oddziały. Tam nastąpiło przegrupowanie i myśmy poszli... .

Łącznikiem „Burego” był Jan Grzeszczuk. Jego syn jest księdzem chyba we wsi Gnaty-Socze-wka //.

Zapuszczaliśmy się nawet pod Mińsk Mazowiecki i pod Wyszaków. Nasze bazy były w koło Biel-ska, Wyszki, Topczewo. Sporo naszych leży we wsi Bodaki, Klichy, Antonie. Byłem tam w czasie tej bitwy. To było jakoś latem, w czerwcu czy lipcu. Jako łącznik byłem.

Na rękawach mundurów mieliśmy wyszyte litery: SWO. Litery były żółte na czarnym tle. Również obwódka była żółta. Początkowo to byłem amunicyjnym u „Pała”. On Broniek miał na imię // . To był dumny człowiek. Był taki moment, że mi kilka kopów wsadził i koniec. Doszło do strzelaniny w porze dziennej koło Czyżewa, jadąc na Andrzejewo. Nie pamiętam już czy było to w 1946 czy 1947 r. No i ja schował się w pokrzywy, a on przy opłotkach (postawił na płot erkaem) z pozycji stojącej strzela do nich z LMG (był taki niemiecki na taśmowo amunicje) i po rusku klnie mnie: ty bladź - i kopa mi, żebyam amunicje mu dawał. To taki rusak był. Ślepy był trochę ten „Pał”. Ze stojącej

pozycji wali bracie, no i jakoś go te kule omijały. W dzień na nas szło natarcie ubowców. No i musiałem mu dać to amunicję. Podsunąłem skrzynkę. Zaczepił nogo taśmę i... . Już jak mnie nie było, to „Pala” zastrzelili w Białobrzegach. Też wódka doprowadziła go do tego. Aaa, bo to się później w bandę przerodziło - tak mówiąc szczerze - jak wymknęło się spod dowództwa, jak zabili „Wydrę”. Stasiak „Twardy” to jeszcze do 56-go roku chodził. Jeszcze w 53-m roku, 27 grudnia, toć oni zrobili tu taką masakrę jadąc z Łomży w kierunku Nowogrodu. Nabili ludzi sporo. Nie wiem kto to grupo dowodził. Wiem, że wtedy była dosyć prężna grupa „Nocy”, syna płk. „Błękitą”.

Ta, która jest na zdjęciu z „Wydrą”, to też dziadostwo. Jak wyszedłem z więzienia, to spotkałem się z nią. Na współpracy poszła.

Koło wsi Korabie-Brzozowo - jeszcze żniwa były, koniec lipca albo początek sierpnia - wpadliśmy w zasadzkę UB. Godzina była gdzieś 1 nad ranem. Było nas może ze 30-tu. Nic takiego nie było. Po prostu „Śmiały” szedł na przedzie z „Jesionem” na rozpoznanie. No i wchodząc do wsi zauważyli kogoś i krzyknęli:

- Stój! Kto idzie?

- Wojsko!

- Co za wojsko?

- Urząd Bezpieczeństwa!

- No i my Urząd Bezpieczeństwa - i zaraz serię pociągnął „Śmiały”, i my dyla. W tak niefortunny sposób wszyscy się wycofali zbożami pod tory kolejowe, że ja się odbiłem. Straciłem łączność choroła jasna. Patrzę - idą tymi żytami. Miałem wtenczas erkaem. Ściągnąłem go z ramienia, rozejrzałem się i widzę, że dookoła idzie tyraliera. I ja razem w tej tyralierze. Po chwili któryś krzyczy do mnie:

- Zachodzić z prawego skrzydła, trzymać odległości! Podać po linii! - Ja się patrzę na niego, a u niego dach u czapki (garnizonówki, które nosiło KBW) kuty, bo zabłyszczał w świetle księżyca. Szedł zresztą jakieś 5 m ode mnie. Widzę, że ja jeden jedyny mam furazerkę, polówkę. O Jezu kochany, już i po wojaku - pomyślałem sobie. Więc ja powolutku w bok, w bok i oddaliłem się do lasu. I choda. No nie wiem gdzie jestem. Straciłem orientację. Sam jeden, złapią mnie gówniarza - myślę sobie. Podbiegłem ze 20 minut, może z pół godziny. Karabin maszynowy zarzuciłem na plecy. Wybiegłem na polanę. Patrzę: duże pastwiska. Niedaleko jakiś krzak. Powoli już mgła zaczynała się unosić. Wziąłem lornetkę i widzę, że niedaleko jakby jacyś ludzie. Patrzę, patrzę i coraz lepiej widzę. Podbiegłem jeszcze trochę. Znowu wziąłem lornetkę i liczę. Naszych było ze 30-tu. Liczę i liczba zgadza mi się - 30-tu. Mam ich w lornetce, więc dobrze odbieram. Dołączyłem do nich. Swoi.

Zaraz niedługo potem „Cichy” i „Śmiały” zginęli w Wyszonkach. Byli w patrolu. A my w tym czasie byliśmy u Kopciów w Gnatach-Soczewkach (ok. 6 km od Bogut), bo to jak wyjeżdżali do specjalnych „poruczeń”, jak np. do wykonania wyroku, to oddział nie musiał wychodzić. Do takich zadań najczęściej używani byliśmy ja i „Młodzik”.

„Cichy” był wspaniały. To był najinteligentniejszy i najbardziej kulturalny człowiek. Miał wykształcenie - skończył gimnazjum, to liczyło się w takiej grupie, w której dziadów było kupe nabierane, i ja między nimi. Wtedy to liczyło się nawet jak ktoś miał skończone 7 klas, ale najczęściej to mieli tylko 4 klasy, albo i tego nawet nie. Pochodził z Nowogródka. Śpiewał bardzo pięknie. Zginął

razem ze „Śmiałym” w Wyszonkach. Wpadli w zasadzkę we wsi. „Szasnęli” po nich i koniec. To jeszcze wtedy byłem w oddziale // „Śmiały” to jak kogoś przyprowadził na rozstrzelanie, to mówił:

- Eee, dziada macie. Będzie rozstrzelany. Idźcie, zaraz mu tam po kieszeniach plądrować. Może jako złotówkę ma. - W ogromnie cyniczny sposób odnosił się od tych wszystkich, którzy wykonywali wyroki. Mimo to był to jeden z najbardziej bojowych żołnierzy. Z takie dopingowanie to mu mogło coś grozić, ale że był najlepszym żołnierzem z całego oddziału, więc tolerowano go. Tam gdzie trzeba było pokazać bohaterstwo, to on był jeden jedyny niezastąpiony. To był prawdziwy żołnierz. - Ja wtenczas mam przyjemność, jak widzę broń na broń, oczy w oczy - mówił - ale żeby przyprowadzić i kazać... Ktoś stoi i płacze... . Jest gnojków takich, niech oni z nimi się rozprawiają. - Ja też myślałem podobnie jak „Śmiały”. Miałem tako słabostkę - puściłem oficera WP, puściłem oficera bezpieczeństwa, ale konfidenta nie puściłem. Zaliczam ich do ludzi najpodlejszych i tych ludzi - w moim mniemaniu - trzeba było w bezwzględny sposób... . Co innego jeśli chodzi o ludzi ideowych, którzy walczyli o swoje ideały, czy one słuszne czy nie słuszne. Chociaż w stosunku do ubeków też byłem bezwzględny.

Zresztą do wykonywania wyroków to zawsze było dużo ochotników. Do takich rzeczy palili się „Wiarus”, „Płomień”, „Skowronek”. To tylko najwięksi tchórze brali się do tego, bo prawdziwego żołnierza poznawało się dopiero w walce. Ja pod tym kontem konto mam czyste. Prawdopodobnie, nie chwając się, byłem dobrym żołnierzem. Z miejsca założył bym każdemu kulę w plecy, jeśli by bez rozkazu cofał się z pola walki. Natomiast honorowym chłopcem był „Młodzik”. Ci, którzy wykonywali wyroki nie cieszyli się w oddziale dobrą opinią i poważaniem. Dla nas to gnojki byli. Owszem, takie rzeczy potrzebne były, ale oni nigdy nie wykazali się męstwem, odwagą tam gdzie potrzeba. Może nie we wszystkich przypadkach, ale tak było.

Opowiem na dowód tego takie wydarzenie. To poniżające moją godność osobistą fakty, ale tak było. Zima 1947 r. opanowaliśmy miasteczko Ciechanowiec: pocztę, posterunek, garnizon na ul. Małeckiej. Wszystko już było ustalone z miejscowymi łącznikami, dzięki czemu mogliśmy wszystkich zaskoczyć. Wjechaliśmy na zdobytym samochodzie (kilka z innych akcji mieliśmy ukryte na melinach, bo kierowców nie mieliśmy, a ten to już jakieś pół roku temu zdobyliśmy) w godzinach nocnych (ok. 11-tej) do miasteczka. Ja byłem w grupie, która opanowała przez zaskoczenie posterunek. Poddali się bez wystrzału. Każdy miał wyznaczone zadania.

- Gdzie komendant jest?

- Nie ma. Jest w domu - odpowiedział któryś z milicjantów.

- Gdzie mieszka?

- Tu i tu. - Wziąłem kilku chłopaków i poszliśmy do niego. Mieszkał po drugiej stronie ulicy, w budynku na przeciwko posterunku. Chyba ze trzech nas weszło na górę po schodach. „Bergmana” wymierzyłem w drzwi - będzie się bronił to będę walił w drzwi - i pukam:

- Otwierać! - Otworzył.

- Proszę wyjść - powiedziałem do wszystkich.

- Pan jest komendantem? - powiedziałem do czarnego mężczyzny.

- Tak.

- Broń?

- Nie mam.

- Proszę oddać broń w tej chwili.

- Panie, broń na piecu leży - odezwała się jego kobieta i od razu zaczęła płakać.

- Pani podać mi tę broń. - To było niemieckie „Parabellum”. Obejrzałem się do tyłu. Widzę, że wszyscy drżą. No, wszystko w porządku. Na tego komendanta miałem trochę materiału, ale nie miałem ochoty jeszcze z tego korzystać. Podeszedłem do niego i mierząc weń z pistoletu mówię:

- Wie pan co? Broń zabrałem. No jak? Będziesz pan kozakował więcej? Bez wygłupów. Bądź grzeczny. - No i chłop zaczął płakać. Niech to cholera weźmie. Coś mi przyszło do głowy.

- Wiesz co - mówię - broni mamy od cholery. Mnie gównem twój pistolet. Jest tu piwnica, jakiś kurnik w podwórzu, żeby tam skryć się można było?

- Jest.

- W tej chwili bierz dobro, ciepło kurtkę, spierdalać na podwórek i wleź do jakiegoś kurnika czy gdzieś i broń Boże nie wyłaż na ulicę, bo tu zapchane pełno. Capno cie, bo jesteś znany. Siedź tam chodźby do rana. Pod żadnym pozorem nie wyłaż stamtąd ani na krok.

- Ło Jezu, panie... - załamała ręce kobieta.

- Już do kurnika - powiedziałem. Jedna głowa więcej - pomyślałem sobie. Taka ofiara losu. Może człowiek wyciągnie wnioski.

Żadne wyroki nie były wykonane, bo nie dosięgnęliśmy tego kogo chcieliśmy. Uwolniliśmy tylko ze 3 aresztantów (naszych ludzi z siatki) i zabraliśmy tylko broń. No nie było na kim wykonać wyroku, bo każdy miękł jak zobaczył karabin w ręku i od razu błagał:

- Panie, ja w Rosji był, ja szlak bojowy przeszedłem, ja mam dzieci, ja mam tego... . Łeee, szkoda że wcześniej o tym nie myśleli. Wolałem już powiedzieć do takiego:

- Idź z Bogiem - mówiłem do takiego. Jeśli jeszcze chodzi o akcję w Ciechanowcu, to żadnych strat nie ponieśliśmy, chociaż strzelaniny trochę było. Jeden oficer z WP był ranny i jeden cywil został zabity. Miało to miejsce w momencie gdy forsowaliśmy rzekę Nurzec. Jedni po moście a drudzy po lodzie. No i w pewnym momencie, nagle, pojawił się na moście patrol: oficer WP i jakiś cywil. Działo się to na moich oczach. A „Młodzik” od razu krzyknął do nich:

- Ręce do góry! - Cywil jednak nie usłuchał. Błyskawicznie sięgnął za pasek i wyciągał już „Waltera”, „Młodzik” był szybszy i huknął mu w łeb. Gość padł podcięty jak snop zboża. Szkoda było człowieka. Nie wiem co to był za jeden. Natomiast oficer był postrzelony. Potem opatrzyli go i puścili. Później miałem tego „Waltera”. Jak wyjęto ją z ręki zabitego, to widać było, że zamek był odciągnięty. Być może jakieś dokumenty miał przy sobie, ale nie byłem w to wtajemniczony, kto to taki. No tu, to była broń na broń, chodziło tylko o to, który będzie szybszy.

Później jednak doszedłem do wniosku, że puszczając komendanta posterunku popełniłem jednak błąd, ale nie mogłem tak go... . Żeby przeciwstawił się się zbrojnie, to co innego, ale bezbronnego nie potrafiłem. Oni jednak takich skrupułów nie mieli w stosunku do nas. Nie mieli litości. Byli bezwzględni. Największą okrutnością wykazywali się co rosyjscy doradcy. O Jezu, jacy byli bezwzględni. Jeden taki miał nazwisko Mendyk - cywil. Och, co to za okrutny był kat. On był wtedy, co to mnie w grudniu 1946 r. postrzelili w czasie ucieczki.

Jeśli chodzi o „Kruka”, to takie wtedy w oddziale nie było. Pewnie dołączył po moim aresztowaniu. Chociaż nie. W sierpniu 1947 r. „Huragan” dołączył do oddziału razem z „Krukiem”. Gdzie oni byli wcześniej, to nie wiem. Może byli w rezerwie. Ten „Kruk” to faktycznie był biały, taki świński blondyn. W wieku ok. 35 lat //. Ich policja kolejowa chciała aresztować za jakieś przestępstwo i uciekli. „Huragan” był z Łap. Wysoki chłop, przystojniacha, elegancki. Do oddziału dołączył dopiero w sierp-

niu 1947 r. Zginął, ale kiedy, to nie wiem, bo mnie nie było już wtedy w oddziale // . Nie wiem co stało się z „Krukiem”.

„Płomień” i „Skowronek” to zginęli przez wódkę. Nie pamiętam, gdzie wtedy stał nasz oddział w Poniatach, czy gdzie. Pan Bog święty wie. Było to w odpust św. Jana 24 czerwca 1947 r., no chyba że odpust był na niedzielę przelożony. Jeszcze ode mnie granaty wzięli, bo miałem angielskie:

- Daj mnie dwa granaty - powiedział „Płomień”. Chciał się pochwalić tymi granatami. „Wydra” wysłał ich na „specjalne zadanie”, a oni poszli do Grannego. Tam samowoli nie było. Dali się naciągnąć na wódkę i zabili ich. Epilog z tego całego zajścia opowiadał mi Lutek Sidorczyk, bo on z Grannego jest. To młody chłopiec wtedy był i widział to. Jeszcze żyje. Zresztą dziesiątki ludzi to widziało, bo odpust był. Gdzieś strzelali tam, coś..., wódy się napili, to szajba im odbiła. Sami sobie winni. Oj, to dobre żołnierze byli. „Skowronek”, to świetnie na mapie się znał. „Płomień”, to pochodził gdzieś od Częstochowy. To dezertjer z wojska był. W 1946 r. do oddziału „Rekina” wstąpił. Stary żołnierz // . Kiedy „Skowronek” wstąpił do oddziału - nie wiem.

Latem 1947 r. został rozstrzelany przez nas członek naszej grupy „Zajac” // . W łeb dostał i koniec. Ładny chłopiec był. Gównierz, bracie, pójdzie w patrol i sie napije i tego... . Stary („Błękit”), bo sprawa doszła do Okręgu, powiedział:

- Rąbnąć w łeb dziada. Co to z gówniarzem będziemy się... . Pojedzie w patrol, pójdzie do chaty i chłopca bierze na furmanke a chłop mu da szklane bimbru i dziad leży. Takie to nawet i baba fartuchem zwiąże. Złapio go i koniec będzie. - Kazał zastrzelić i koniec.

„Bierut” to „Krzywa Łapa” // . Jego rodzice pochodzili z inteligencji. Właził do chaty do kogoś, pukał, otwierała tam był milicjant i strzelił do niego. Trafił go w rękę i uszkodził ścięgna. Nie zrobili mu operacji i od tej pory miał lewą dłoń zaciśniętą. Wszystkie palce zgięte do środka, bo źle mu się zrosło to wszystko. W oddziale był do kwietnia 1947 r., do ujawnienia, a potem „Błękit” zabrał go do siebie na ordynansa, bo adjutant to jest co innego. On też był taki bezczelny. Morderca można powiedzieć. Litości nie znał, ale dostał ode mnie raz. Stłukłem go karabinem. Dałem mu łomot taki jak się należy. Wiedziałem, że on tak lubi dziada złapać i zastrzelić. Inaczej mówiąc chętny był do wykonywania wyroków. Oczywiście zawsze działało się to po wydaniu rozkazu przez dowódcę. Do wykonywania wyroków zawsze szli ochotnicy.

Któregoś razu przyjechał pułkownik i razem z nim „Bierut”. Wezwali mnie do raportu, bo ja wtedy akurat przegięłem jedną sprawę. Trochę nadużyłem władzy, tak że nie czułem się wtedy zbyt pewnie. Byłem w patrolu i dwóch chłopów ze wsi Żery zaczęło siostrę „Bitnego” oskarżać o jakieś powiązania // . No i ja się za nią wstawiłem, bo ją znałem osobiście. Mieszkała w Żerach za Perlejewem. „Bitny” to był Boguszewski. Jego siostra wyszła za mąż za Ślepowrońskiego i mieszkała w Wojtkowicach. Zmarła kilka lat temu. No i po tym jak się wstawiłem za nią skarga tych z Żer doszła do „Błękit”. On przyjechał do nas na kolonię do Ślepowron (są Nagórne, Cepory i Bochny), gm. Nur, i każe mi stanąć do raportu. Przy „Błękit” stał „Bierut”. „Błękit” miał tako długo „Parabele” a strzelał dobrze. Wiedziałem jednak, że on strzelać nie będzie, tylko ta „Krzywa Łapa”. Spodziewałem się wszystkiego. Miałem wtedy takiego „Colta” 12-to milimetrowego. Stanąłem na baczność, ale wcześniej odbezpieczyłem „Colta”, kaburę odpiąłem. Zdawałem raport i tylko patrzyłem po oczach, który sięgnie po broń. Zaraz bym go rozwalił. No i tłumacząc:

- Panie pułkowniku, było tak i tak - i patrzę, że nic się nie dzieje. W oczy mu patrzę i myślę: Bracie, ja tu będę szybszy, bo ja mam pistolet odbezpieczony, jak tylko co tego to zaraz cie w łeb huknę. W oczy mu patrzyłem i wszystko we mnie drżało. Byłem pewien, że coś będzie. Nic jednak się nie stało.

- Miałeś rację chłopie - powiedział pułkownik.

Jeśli chodzi o pobicie go przeze mnie to było to tak. Nocowaliśmy wtedy w leśniczówce w Pietkowie. Wróciłem akurat z patrolu, z zadania specjalnego i przebrałem się. Leśniczego żona mówi:

- Połóż się pan. - Położyłem się. Nie wolno było brać poduszki, nie wolno było brać nic i rozbierać się. Często w książkach pisali o tym, jak to w kalesonach uciekali. Jaka bzdura. Przecież nikomu nie wolno było nawet buta ściągnąć. Tylko pas wolno było poluzować. Karabin zawsze pod ręką. zawsze pełne pogotowie. Leśniczego żona podeszła jednak do mnie - taka inteligentna kobieta to była i widać dobrze oceniła mnie - i mówi:

- Proszę pana, pan taki zmarnowany, może panu poduszkę dam. - I tak odruchowo wziąłem tą poduszkę. Położyłem się na niej - była taka wyszywana, co to na łóżkach kładli - i zasnąłem kamiennym snem. A ten dziad („Bierut”) stanął nade mną, popatrzył, że ja śpię, wziął pastę do butów, która była wtedy w tubkach jak dziś pasta do zębów i pod nosem wysmarował mi wąsy. Ja odruchowo obróciłem się i tymi węsami wysmarowałem poduszkę. Gdzieś o godz. 9 (to była niedziela) przychodzi gospodyni, zobaczyła wymazaną poduszkę, stuknęła mnie w buty, ręce załamała i zaczyna lamentować:

- Panie.

- Co takiego? - zerwałem się z łóżka i spojrzałem na poduszkę.

- Pan weźmie lusterko. - Patrzę i widzę, że jestem cały wymazany pastą. Nie mogłem się wymyć.

- Ale poduszka - dodała cicho gospodyni.

- Kto to zrobił? - spytałem się ostro. - Olek, kto tu był? - pytam się „Pokrzywy”.

- A ten dziad - i pokazuje na „Bieruta”. Jak ja nie złapię za karabin, jak go rąbnę z miejsca w łeb, potem jeszcze raz i lufą w piersi na dodatek. Leży dziad rozłożony na podłodze. No tak nie wolno było. Ja w zasadzie usposobienia jestem spokojnego, ale tym razem nie wytrzymałem. Wpadł „Wydra”:

- Co to za awantura?! Co jest?! - Wziął mnie do drugiego pokoju.

- Panie poruczniku, noo pan widzi - pokazuję na twarz, a żona leśniczego dołączyła się:

- Proszę pana, ja temu panu położyłam poduszkę i on spał i nawet nie czuł jak mu podłożyłam ją. „Wydra” jak to usłyszał wyjął „Tetenkę” i jak mu rżnie parę razy po zębach i już się krwio zalał.

Jak dowiedziałem się po moim aresztowaniu „Bierut” poszedł do wsi Klukowo, bo to dziada było kawał i zaszedł do kowala, bo chciał coś od niego, ale dziad lubił wypić, bo to później w bandę się przeistoczyło, gdy skończyło się dowództwo i wszystko. Muszę krytycznie ocenić i to. No i kowal w tym czasie coś kuł. Coś wyczuł i jak uderzył go młotem, i jeszcze raz w łeb strzelił, to go zabił i było po „Bierucie”.

W oddziale niesamowicie bluźnili. I wu..., i wu... i bladź, i kurwa i tego... . Najbardziej przeszkadzało to „Cichemu”, który rozumiał, że psuło to nam reputację w społeczeństwie i któregoś razu powiedział:

- Słuchajcie. My musimy dbać o jakość reputację. Przez te bluźnierstwa to wydaje się wszystkim,

że to kup chuliganów, kupa łobuzów chodzi. - Zastanawialiśmy się więc jak rozwiązać ten problem, nikomu jednak nic nie przychodziło do głowy. „Cichy” to był inteligentny chłopak, wyniósł z domu dobre wychowanie, pierwszy więc wpadł na pomysł:

- Wiecie co? Jak który zaklnie, to 10 kijów w tyłek. - No i „Wydra” to zaakceptował. Któregoś razu coś tam „Wydra” zdenerwował się i zaklął:

- Kurwa mać. - Chłopaki od razu:

- Oooo, komendancie, co tu, tego... .

- Co - zachnął się „Wydra”, ale zaraz sobie przypomniał i poleciał w kierunku krzaków. Wyrznął dwa patyki grube jak palec. Oba mierzyły po 80 cm długości. Było to „kije wymiaru sprawiedliwości”. „Wydra” położył się i mówi do któregoś:

- Bierz kij. - No, ale kto to dowódcę będzie bił i już nie pamiętam który „smalnął” komendanta w tyłek. Bił tak z litości. „Wydra” się wściekł, zerwał się i krzyknął do niego:

- Ty szwancu. Kładź się skurwysynu - plunął w ręce, zatarł je po chłopsku i jak mu przypieprzy 10 kijów.

- O tak się leje, kurwa mać. - I znowu położył się i do „Stala” mówi:

- Bierz kij. - No wlał mu tym razem jak trzeba i nic //. Następny podpadł „Pal”. On zawsze mówił: bladź, bladź, bo to taki ruski człowiek był. Tak na niego mówili. Miał taki wschodni akcent. Lubił bluźnić, szczególnie jak wypije. To było na jakichś koloniach. No i padł rozkaz:

- „Pal” kładź się - a na „Pala” to mieli trochę ochotę, żeby mu „bryknąć”. Jak mu dali w dupę, jak mu smalnęli po kolei: jeden, dwa, trzy, cztery i pięć - jak on wrzaśnie i da dyla z tego stołka i choda na podwórko. Wyleciał za nim „Arkadek” i „Wydra” krzyczy do niego:

- Wal! - „Arkadek” złożył się z kabeka, z dziesiątki i miał rąbnąć mu w plecy, ale zawahał się: Jak to tak, koledze? - A że „Pal” już trochę odleciał, to i wkrótce zniknął. No i ten cały „Pal” uciekł z oddziału. Był bez munduru, tylko w koszuli. Nie miał pistoletu ani granatu. Jedyne co miał ze sobą to portfel. No i takiego złapało UB. Uciekł im z łap i poszedł do pułkownika, bo znał jego punkt kontaktowy, z którego łącznik doprowadził go do sztabu, a w sztabie był Stasiek „Twardy”, który opowiadał mi później jak to było:

Przyleciał - mówi Stasiek - a stary mówi tym swoim grubym głosem: „Pal, a co cię przyniosło tutaj?

- Bo panie pułkowniku... - zaczął się tłumaczyć.

- Za dużo bluźniłeś? - powiedział stary, który znał już całą sprawę. - No to pobyl tam ze 3 tygodnie i odtransportowali go z powrotem do oddziału. Dobrze jednak, że nie uciekł do UB. Dobry z niego był żołnierz.

Któregoś razu byliśmy w nocy we wsi Rzepki koło Brańska na Bielskim powiecie. To było w lipcu 1947 r. Byliśmy u Rzepkowskiego. To był nasz łącznik. Chłop pierwsza klasa. „Wydra” poszedł do niego z „Młodzikiem” czy z „Wróblem” rozmawiać w nocy. A my: jeden tu, drugi tam. Jeden zmęczony położył się na trawie, bo to przecież robiliśmy po 30-40 km w jedną noc, drugi poszedł się napić. Oczywiście „obstawa” z oddziału była postawiona. Jak było nas ze 30-40-tu ludzi, to 5-6-ciu ludzi wystawili na „obstawie”, a reszta... . Pamiętam ze studni mlekośmy wyciągnęli w bańce. Wypiliśmy tego mleka, porozchodziliśmy się. Za płotem stał nowy dom sąsiada. Jakies 10 m dalej. No nic. Odeszliśmy z całym oddziałem aż gdzieś pod Pietkowo. Nad ranem „Wydra” mówi do mnie:

- Trzeba jechać tam i tam. Zabieraj „Dumnego”. - Oj to zaraza był. Rodzonego ojca by zabił. Ja to jeszcze w stosunku do niego byłem tolerancyjny, choroba. Ja to nie miałem sumienia. Trzeba było, to trzeba było, ale znęcać się jeszcze?... . No i po wykonaniu zadania wracaliśmy już do oddziału i przechodziliśmy przez Rzepki. Ubrani byliśmy tylko w koszule. Każdy miał pistolet. No i ustaliliśmy, że birzemy podwodę i gospodarz nas podwiezie dalej. Ale mnie but był okropnie ciasny, bo miałem oficerki. Pomyślałem, że je sobie zamienię. Wchodzę więc do domu wójta. W pokoju jakaś młoda kobieta pierze w balei. Mówię:

- Pani, mnie buty tak nogi obtarły. Może tatuś ma buty ma jakieś takie? - On tak stanęła, rozkaraczyła się, ściągnęła mnie te buty i mówi:

- Tu tatusia buty stojo - a kiedyś te buty to były na prawidłach. Spojrzałem na nie:

- Niecee, tam takie buty. Nie takie mi potrzeba. Poszedłem do sieni, znalazłem takie w gnoju upaprane. Ruskie sapochy. Brezentowe z cholewami. Nogi wsadziłem do środka i od razu lepiej się poczułem:

- Ooo, to są buty - i dałem jej te swoje oficerki, a to były buty takie, że jebitwuju mać. Ze skóry, z cholewami. Modne były wtedy.

- Pani, czy mogę wziąć? - spytałem pokazując na te brezentowe.

- Niech pań weźmie - pozwoliła. Zaraz wzięła wody z balei i wymyła mi te buty. Zaraz co innego było. Ładnie wyglądały, chociaż to były takie do wyjścia do obory. Potem poszedłem do jednego z gospodarzy na podwórek i mówię:

- Panie, może podjedziem?

- Aj panie muszę tutaj... - i pokazuje, że ma robotę. No jak nie, to nie. Poszedłem dalej. Do naszego łącznika Rzepkowskiego już nie będę zachodził, bo ludzie patrzą i powiedzo zaraz, że tego... . No i poszedłem do sąsiada pana Rzepkowskiego. Wchodzę do środka, a tam przy stole siedzi gospodyni. To była młoda kobieta, w wieku około 25-27 lat, dosyć elegancko ubrana. Włosy rozpuszczone. Siedzi i miesi w dzieży ciasto na chleb. Te jej cyciki wiszą nad tym chlebem, kurna - nie ma stanika. Po podłodze szurgają się dwa dzidziuski malutkie, jeden z rok może miał, drugi dwa. Ubrudzone jak dwa nieszczęścia. Popatrzyłem tak na nią i pytam się, czy mąż nie mógłby nas podwieźć? Jest mąż?

- Męża nie ma - odpowiedziała.

- A, to męża nie ma - powtórzyłem za nią.

- A to pan może z Bielska? - dodała po cichu. Coś mnie tknęło i szybko odpowiedziałem też po cichu:

- No tak.

- Już mąż meldunek powiózł - szeptąła - Dzisiaj znów była banda.

- Ojej, to dobrze - powiedziałem. Jak Boga kocham, jestem katolikiem. Tak właśnie było.

- Ilu ich było? - pytam się.

- A naliczyliśmy ich ze 30-tu. - Widzę, że dobrze liczyli, bo nie omyliła się. Kobieta miesi dalej to ciasto i mówi:

- Banda przyszła i mleko wyciągali ze studni, pili.

- Jak wyglądali? W jakich czapkach byli?

- Panie, był w takich czapkach - opisała rogatywkę - a jeden to z goło głowo chodził, tu czapke

miał wsadzono, to - i pokazuje na ramię. - I rzeczywiście, to ja byłem. Tylko ja miałem furazerkę zatknietą pod naramiennik. A zaraza - pomyślałem.

- Już spisaliśmy i mąż meldunek poniósł na posterunek - wyjaśniła. - No gdzie poszli te bandziory to nie wiem. - Ja patrzę, żeby tylko ten „Dumny” tu nie wpadł, bo będzie źle. Popatrzyłem się na to babe i żal mi się jej zrobiło. Wyciągnąłem spod koszuli furazerkę i mówię:

- Widzi pani, to jest właśnie ten, który był z gołą głową. To jestem ja. Kobito, żeby to był twój ostatni raz. Ja litości nie mam nawet dla najbliższego. Ja mam litość o dla tych o - pokazałem na dzieciaki - karakuanów, co łażo. Ja cie mogę zastrzelić tu w tej dzierzy. Powiedz temu swemu durniowi, żeby to było po raz ostatni. Zaniechaj tych praktyk, bo osierocicie dwoje dzieci. U nas litości nie ma. - A kobiecie leco łzy do tej dzieży jak by kto kran odkręcił.

- Tu pani łzy mnie nie wzruszają. Do widzenia i pamiętaj pani, co mówiłem. - No, postąpiłem nie w porządku. Nie wspomniałem o tym „Dumnemu” i nic o tym nie mówiłem aż do powrotu z więzienia. Jakiś czas później rozmawiałem z takim Zbyszkiem Piekutowskim z tej wioski i spytałem go m.in. o Rzepkowskiego, co to mieszkał na brzegu wioski.

- Aaa, taak. Ten Rzepkowski to w więzieniu siedział. Kupe lat. 15 lat dostał.

- Ich sąsiad, to mój dobry znajomy - mówię - razem ze mną w wojsku był.

- Aaa, tego to banda zastrzeliła.

- A kiedy?

- A w 1949 r. - Czyli nie wyciągnął wniosku z mego ostrzeżenia. Głupi był. Puściłem ją i jego, bo wyraziłem litość dla tych dzieci. Najlepiej to było być z daleka od wszystkiego. A czy moje postępowanie to było takie słuszne. Też zasługiwało pewnie na jakieś potępienie. Gdyby wtedy „Dumny” do środka wszedł, to by nie pytał. To był bezczelny człowiek. Ta wieś, to była dosyć zaufana, a jednak...

„Wydra”, to mnie potem mówili, zginął... czort wie, czy który go zabił? czy prowokator, czy coś? Nie wyjaśniona sprawa. „Węgorz” był wtyczko UB, i później była ta cała sprawa z „Błękitem” jak go zabili // „Bimbe” później przewieźli i zlikwidowali tego całego Uszyńskiego Gienka. To był nasz główny łącznik. Mieszkał w Uszy Małej // . Kiedy zabili pułkownika - głównym prowokatorem był „Węgorz”, który miał widać krótkofalówkę i naprowadzał... . No i w zasadzkę ich wciągnął, zginął pułkownik i jeszcze kilku. To było w biały dzień. „Bimbo” uciekł do Dmoszek, gdzie schował erkaem i poszedł do Gienka Uszyńskiego, który był naszym bardzo zaufanym człowiekiem. On 30 lat miał. Baaardzo dobry gospodarz. Poorządny chłop. Dobry łącznik był. Niedawno spotkałem „Bimbę” i opowiadał mi:

- Cóż, minął dzień i Gienek mówi: pójdziem siano grabić. Gienek miał „Teteke”, „Bimbo” też jakiś pistolet i granaty w kieszeni. Jeden z grabiami, drugi z widłami. Pewnym momencie w krzakach przy drodze pojawia się kilkanaście luf karabinów i automatów: Rece do góry! - No i po cwaniaku. W takiej sytuacji największe asy podnoszą ręce. „Bimbo” podniósł ręce do góry. Zaraz skoczyli do nich, obmacali, wyciągnęli im pistolety i granaty, posadzili na samochód i powieźli do Bogut, a potem do Czyżewa. W Czyżewie zatrzymali się w takiej knajpie „Złote Jabłko”. Weszli do tej knajpy. Wprowadzili i jego, a żołnierze z obstawy poszli gdzieś tam za samochody. Zostało tylko z 6 oficerów i kilku cywili. „Bimbusia” skutego posadzili w kącie. Killku poszło za zaplecze. No i uczują i Gienek z nimi. „Bimbo” zauważył jak Gienek wyciągnął „Tetenkę”. Oficjalnie. Goszczą się, nareszcie Gienek zapalił papierosa, odwrócił się do „Bimby” i mówi:

- Masz Tadziu, zapal.

- A daj mnie spokój. - Gienek nalał wódki w szklanę:

- Wypij - mówi - tak musi być jak jest.

- Daj mnie spokój, daj mnie spokój - mówi załamany „Bimbo” - ja już napojony. - Nie chciał patrzeć na niego. Łzy zaczęli mu lecieć. Taka zdrada ogromna. On współpracownikiem był. No i pogościli się, w końcu powiedzieli sobie: Cześć, cześć. Gienek podszedł jeszcze do „Bimbusia” i powiedział:

- Do widzenia. - „Bimbo” nic się nie odezwał.

- Chłopcy - skierował się do ubeków Gienek - tylko nie bijcie go tam. Nie bijcie. I nie bili - mówi „Bimbo”. Gienek pojechał, a „Bimbusia” na samochód. Gienek był konfidentem, a w tej knajpie mieścił się ich punkt kontaktowy. Koniec końcem, minął miesiąc czasu i „Pokrzywka” smałał mu serię. Weszli do niego na podwórko:

- Dzień dobry Gieniuś - powiedzieli. Chciał dać dyla, ale „Pokrzywka” wpakował mu kilkanaście kul. Weszli do niego, do mieszkania. Papiery jakieś znaleźli. „Parabella” leżała. No i tak to się skończyło. O tym opowiadał mnie Jan Sawin „Wiewiórka”, który tam razem był. Zmarł dwa lata temu w Brzegu nad Odrą. Dostał 15 lat //. „Bimbuś” mówił, że go zaraz po tym przesłuchiwali w Białymstoku:

- No cóż, ten który ciebie wydał nie żyje. Czy wiesz o tym?

- No skąd mam wiedzieć - odpowiedział - przecież siedzę w więzieniu.

- A kto to mógł wyrok na nim wykonać? - chciał wiedzieć śledczy.

- No, a skąd ja mam wiedzieć, jak za kratkami jestem. - Co stało się z „Węgorzem” to nie wiem. „Bimbuś” może wiedzieć.

Tu chodzi o „Lwa”. Przecież ileż ludzi rozstrzelanych przez niego, ileż poszło na śmierć. On jest mniej więcej dwa lata starszy ode mnie. Gdzieś 70 lat będzie miał teraz.

„Bimbo” ożenił się ze Staśką „Twardego” siostrą stryjeczną, ale on zmarła. Potem ożenił się z drugą, też z naszych stron, ze wsi Ratyniec (nieдалеко Trebłinki, jakieś 10 km.), ale z rodziny, która nieźle dostała w tyłek od partyzantów za swą współpracę z UB. Ktoś z nich w czapę nawet dostał. No i zbiegli do Elbląga.

Sprawa plutonowego Albina Kierzuna „Młodzik” z Wilna //. On też był łącznikiem. Miał swoje zadanie. Krytycznego dnia - w czerwcu lub w lipcu 1947 r. - kiedy pojechał gdzieś („Wydra” wysłał go na Okręg Lubelski, na łączność) - nie wrócił. Ślad po nim zaginął. Myśmy wtedy stali, o wiele się nie myślę w Złotkach, gmina chyba Klukowo czy Perysie. Później różne wersje krążyły. Po powrocie z więzienia „nacisnąłem” jeden z takich punktów łączności i pytam się go:

- Ty, słuchaj, gdzie „Młodzik” jest? - Dał mi adres: Nisko nad Sanem, ul. Warszawska 20, nazwisko Tendorendo Jan. Piszę list i dołączam jego zdjęcie z oddziału. List wysyłam jako „polecony”. List wraca do mnie z dopiskiem: w Nisku nad Sanem nie ma ul. Warszawskiej i nie ma tego nazwiska. Świadczy to o tym, że tam on „wsiąkł”. Myślę, że został aresztowany, bo tego gościa, który był łącznikiem (jego brat też był u nas łącznikiem), to później zastrzelono, bo wydało się, że współpracuje z wywiadem.

Tam była „siatka” zbudowana przez UB, która wspomagała ich. Jak nam się zaczął grunt pod nogami palić, to tym większą działalność przejawili konfidenci. Czym więcej było ich naszpilkowane

w terenie, to utrudniało dla nas poruszanie się. M.in. i Gienek Kamiński, syn Kazimierza z Wojtkowic - zabili go w 1948 r. „Wróbel” go zabił // Wracając do „Młodzika”. Sprawa nieco wyjaśniła się w latach 70-tych. Mieszkałem wtedy już w Łaniewie. Któregoś roku mocno zachorowałem. Miałem 41 stopni gorączki. Żona wezwała pogotowie. Przyjechała pani lekarz. Wypisała kilka recept. Wziąłem jedną do ręki i czytam jej nazwisko: Kierzun-Kalinowska. Często ludzie wykształceni używają nazwisk rodowych, a Kierzun nie należy do pospolicich. To nie Kowalski albo jakieś inne. Zastanowiłem się chwilę i mówię:

- Przepraszam najmocniej.

- Słucham.

- Czy znany jest pani Albin Kierzun?

- A co? Pan zna Albina? - zdziwiła się mocno.

- Tak.

- Niemożliwe.

- Tak, tak.

- I co na jego temat może pan powiedzieć?

- Idź do szafy - zwróciłem się do żony - i podaj album ze zdjęciami. Żonę wyjęła go.

- Podaj dla pani - powiedziałem, bo co inaczej w takiej sprawie będę mówił. Lekarka przewraca, przewraca kartki albumu i w pewnym momencie wykrzyknęła:

- O Jezu. Albin, kochany Albin - i przycisnęła zdjęcie do ust. A to był jej brat. Niestety, niewiele mogłem jej o nim powiedzieć, bo sprawa jego śmierci jest nadal zagmatwana. Kilka głów poleciało za niego. Podejrzewam, że został w podstępny sposób zamordowany, bo miał przy sobie pewną gotówkę. Mogło tak być, że ubecy przejęli punkty kontaktowe, na których miał być i obezwładnili go. Mógł być nawet powieszony przez nich albo rozstrzelany. Później rzeczywiście stwierdziliśmy, że UB miało tu wtyczki. Taki m.in. Wacław Sędziak z Podłazówka czy Eugeniusz Kamiński współpracowali z UB od 1947 r. A to byli przecież nasi ludzie. Ja byłem raczej taki liberał w oddziale i Sędziak pewnie to wyczuł i w pewnym momencie wyczułem, że chciał mnie wciągnąć do współpracy. Kiedyś obraził mnie nie bacząc na to, że byłem zwykłym wieśniakiem, i tak podsuwał mi tę propozycję. To człowiek był mądry, z wykształceniem. Dawał mi taką przynętę, żebym przeszedł na ich stronę, a ja często nie mogłem się zorientować, bo w tym trzeba być na prawdę biegłym. Potem Stasiak „Twardy” go „smalnął”. Był pułkownik, „Bierut”, „Stal” i Stasiak. Złapali go. Prowadzili przez wioskę i dalej aż do Podłazówka. 6 km go prowadzili. No i zastrzelili go w domu rodzinnym a w Kamieńczyku w tym samym czasie UB było na samochodach. Byliby wpadli razem z nim.

To była już jawna współpraca. Ja wolałbym darować życie każdemu innemu potencjalnemu przeciwnikowi niż swojemu, który mnie zdradza, bo swoje się ufa.

1 września 1947 r. oddział stacjonował we wsi Ślepowrony, moja drużyna (12 ludzi) kwaterowała u pana Grodzkiego // Pluton liczył 42 ludzi. Trzeba pamiętać, że latem 47 roku stan oddziału dwukrotnie ulegał zmniejszeniu. Tygodniowo ginęło po pięciu-sześciu. Dobieraliśmy więc z PAS-u, z „siatki”. Tego dnia, po apelu, była mała pogadanka „Cichego”, bo on był u nas od spraw politycznych, na temat rocznicy wybuchu wojny w 1939 r. Gdy „Cichy” skończył „Wydra” wyznaczył mnie, „Pokrzywę” i „Wróbla” na patrol. Dowodził nami „Wydra”. Mundury zdjęliśmy. Byliśmy tylko w wojskowych spodniach i w cywilnych koszulach, był przecież bardzo ciepły dzień. Poza tym każdy miał krótką broń i granaty. Poszliśmy do wsi Pełch, Kobyła, gdzie zbieraliśmy od swoich ludzi informacje

o tym co dzieje się w terenie, czy nie ma UB. W Kobyli wstąpiliśmy do sklepu i wypiliśmy piwo. Tam spotkaliśmy łącznika z okręgu warszawskiego WiN-u w stopniu porucznika (ubrany był po cywilnemu) o ps. „Brzoza” (Mosiejczuk Mieczysław)//. Razem poszliśmy do Wojtkowic Glinnych nad Bugiem. Tam por. „Wydra” wskazał na mnie i powiedział:

- Ty i „Pokrzywa” z porucznikiem „Brzozą” udacie się na drugą stronę Buga, znajdziecie na punkcie i przekażecie dokumenty - po czym przekazał mi pakiet dokumentów w zalakowanej kopercie. Podał mi nazwisko gospodarza, któremu miałem to przekazać. Wiedziałem też jak mam się zachować w razie wsypy, bo pistolet w kieszeni to nie jest obrona. Do naszej grupy dołączył jeszcze jeden cywil, znajomy „Brzozy”, być może też z organizacji, ale nie znałem go. Gdy rozstaliśmy się „Wydra” z „Wróblem” wrócili do oddziału, który został w Ślepowronach.

Wsiadliśmy do łódki, przepływamy na drugą stronę Buga i nagle z odległości jakichś 80 m widzę stojący na brzegu wóz pancerny. Widzę, że w wozie jest trzech i mają karabin maszynowy na wozie. Próbowałem zawrócić i uciekać, ale było już za późno. Któryś z nich wziął lornetkę do ręki i po chwili krzyknął:

- Wróć! - Co miałem robić? Do najbliższych krzaków miałem ze 300 m, a tu dookoła równina, piasek. No gdzie się schowam? Pistolet uwierami mnie w brzuch, przechyliłem się więc i szybko wrzuciłem go do wody, ale przecież, ten który patrzył przez lornetkę miał mnie w jej obiektywie i widział każdy mój ruch, więc widział, że coś wyrzuciłem. Oa razu powiedziałem do kolegów:

- Wpadliśmy, ale wy dwóch - zwróciłem się do por. „Brzozy” i jego kolegi - nie znacie nas. Chcieliście przejechać na drugą stronę i przypadkowo natknęliście się na nas, i my zgodziliśmy się przewieźć na drugi brzeg. - Pchnąłem jeszcze kilka razy wiosłem i uprzytomniłem sobie, że mam portfel, w który włożone są dokumenty spięte gumką. Co z tym robić? Do nich mam już tylko kilkadziesiąt metrów, udałem więc, że mi wiosło spadło za burtę, upadłem w łódce na kolana, sięgnąłem za koszulę po portfel i wrzuciłem go do wody, ale i to oni jednak wyłapali.

Przybijam do brzegu. Od razu:

- Ręce do góry! - i jakoś od razu zwrócili na mnie uwagę. Skoczyli do łódki i popłynęli w to miejsce, gdzie wyrzuciłem pistolet a potem dokumenty. Jako, że było to niedaleko brzegu, było dosyć płytko i pistolet, i dokumenty znaleźli bez kłopotów. Znaleźli gdzieś drut, taki co to miotły się nim wiąże, związali mi nim ręce do tyłu i od razu zaczęli mnie kopać i strzelać koło głowy. Tamtych zostawili w spokoju, tylko mnie. „Pokrzywa” wykorzystał moment nieuwagi z ich strony i nagle zerwał się do biegu, skoczył ze skarpy, przez co stał się dla nich niewidoczny. Kilka razy strzelili za nim, ale niecelnie, natomiast karabin maszynowy nie krył ogniem tego odcinka, gdyż skrywała go skarpa, „Pokrzywa” znalazł się więc w martwym polu. Żeby go gonić musieliby zostawić ze dwóch do pilnowania nas, a przecież było ich tylko trzech, nie gonili więc „Pokrzywy”.

No zmaltretowali mnie wtedy, stłukli niesamowicie, wciągnęli na wieżę wozu pancernego, przywiązali mnie drutem przez pół do wieży i wiozą. Tamtych dwóch również wiozą, tylko że ich po ludzku, humanitarnie.

W Ciechanowcu stała jednostka operacyjna. Jeszcze zanim wsadzili mnie do aresztu, to stłukli mnie porządnie. Wrzucili mnie do aresztu w kącie, związanego drutem. Przez trzy dni nikt absolutnie nie zaglądał. Nawet jeść nie dali. Leżałem na twarzy i nawet przewrócić się nie mogłem. Byłem sam. O wychodzeniu w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych, to nie było mowy. 3 września kluźnik otworzył drzwi celi, wszedł i mówi:

- Wstawaj. - Nie dałem rady. Przyszło więc jeszcze dwóch, wzięli mnie pod ręce, podnieśli i

zaprowadzili na górę, do drugiego budynku. Pamiętam jak dziś. Śledczy był w stopniu kapitana, w wieku lat 56-60. Kazał opuścić ręce. Odpowiedziałem, że nie mogę.

- Opuść ręce! - krzyknął.

- Nie mogę, bo mam związane - odpowiedziałem. Kapitan podszedł do mnie i zajrzał za moje plecy. Zobaczył wtedy, że ręce u mnie popuchnięte, że drutu nie widać. Otworzył okno na piętrze i mówi:

- Proszę przyjść z kombinerkami. - No i jakoś przecięli drut, ale ręce tak mi skostniały, że nadal mam je za plecami. Dopiero powolutku przesunąłem je do przodu. Kapitan kazał mi iść pod kran i umyć się, bo byłem cały zakrwawiony. Szramy na głowie od zamka karabinu, to mam do dziś.

- Głodny jesteś? - spytał, ale nie odezwałem się. - Kiedy jadłeś? - ale ja nadal milczałem.

- Kucharz! - zawołał - przynieść obiad. Pamiętam, że przyniósł aluminiową miskę gulaszu z kartoflami. Ja to wciąłem, młody chłop byłem przecież. Kapitan zobaczył, że to zjadłem:

- Kucharz, przynieś jeszcze jedną miskę. - No, co tam, jeść będę - pomyślałem sobie. W tym momencie zaczęło się przesłuchanie:

- No, teraz będziemy rozmawiać - powiedział kapitan - i zaczął wyzywać mnie: Ty, bandy ci się zachciało - i zaczął chodzić po pokoju - to w zasadzie był salon, taki był duży - i skrupulatnie wszędzie zaglądał: i kontakty, parapety, stół przy którym mnie przesłuchiwał (stały przy nim dwa krzesła) przeniósł w przeciwny róg pokoju. Postawił go po cichu, przestawił krzesła, wyjrzał na korytarz i mówi:

- Teraz będziem rozmawiać? No i co „Orzeł”? Ty na gawrona nawet nie zasługujesz, a nie na „Orła”. - Ja mam dosyć tego wszystkiego i nadal milczę, bo wiem, że to najlepsze wyjście.

- No tak - mówi po cichu - gdzieście byli? -I zaczyna mi mówić o tym co robiliśmy tydzień temu, dwa. Tu zamordowali, tu zabili, wszystko mi sypie jak z rękawa. Wymienił punkty łączności, wszystko. Tu byliście u tego, tu byliście u Karpińskiego Kazimierza, tu u innego itd //. Jechałeś z dokumentami - mówi - a gdzie dokumenty są? - i nadal mówi to po cichu. - Gdzie koperta z dokumentami? Kto ci je wydał? Gdzie jest „Wydra”?

- Ja żadnego „Wydry” nie widziałem i nikogo nie znam.

- No dobrze - mówi po cichu - będziem pisać. - Pamiętam jak dziś. Było tego 54 pytań i odpowiedzi. Sam formułował pytania i sam na nie odpowiadał. Na koniec tak powiedział:

- Panie Deniziak, nasze macki są dalekie. Jeżeli od tego - popukał palcem w protokół przesłuchania - odchyłisz się o 1 cm, to nie kula w łeb. Dostaniesz cyjanek. Nie wierz, że ci się uda uciec przed nami. Nasze macki sięgną cię i w Białymstoku, wszędzie gdzie byś nie był. Zanim parę z ust puścisz, to już nie będzie cię na tym świecie. Rozumiesz czy, nie? - Nic nie odpowiedziałem, bo zupełnie nie wiedziałem co o tym myśleć. Odchodząc kapitan spojrzał na mnie, na mój oficerski pas i powiedział:

- Daj, i tak ci zabiorą - odpiąłem więc i podałem mu, a w zamian dostałem do niego zwykły rzemień. Podał mi dwie ręce i powiedział:

- Trzymaj się, chłopie. Trudno - mówi - będziem patrzeć, żeby głowa została. A ci ludzie z którymi byłeś w łódce?

- Nie znam ich - odpowiedziałem - Po prostu usiedli ze mną do łódki.

- W porządku - odpowiedział - tak powinno być.

No i wieczorem wyprowadzają mnie z aresztu, rozścielają na placu plandekę, kaza mi się położyć

i rolują mnie w tą plandekę, po czym zapinają pasami, wrzucają na samochód (Studebaker) i ładują pod ławkę, która stała wzdłuż samochodu. Po drugiej stronie była taka sama. Siadało na nich wojsko. I po chwili słyszę głos:

- Sierzancie - tu padło nazwisko - wszystko wskazuje na to, że najprawdopodobniej chcą go odbić. Wszystko jest możliwe, więc w razie czego pierwsza seria po plandecę. - A tamtych dwóch, co ze mną złapani byli, trzymają pomiędzy sobą jak najzupełniej normalnie.

Zawieźli mnie do Siemiatycz, zrzucili z samochodu, pociągnęli za plandekę i rozrolowali. Dwóch zaprowadziło mnie do piwnicy w Urzędzie Bezpieczeństwa. Piwnica pozbijana była jak z desek. To jakaś mordownia musiała być. Stół był zbity z desek, taki, co to mają robociarze w barakach. Po chwili do środka weszło dwóch majorów. Zaczęli rozmawiać ze mną. Z pytań zorientowałem się, że są bardzo dobrze zorientowani w organiazcji. Odpowiadam na pytania, bo odczuwam po pierwszym przesłuchaniu, że tak musi być. Cały czas trzymałem się zeznań z pierwszego przesłuchania. W tym czasie strażnik, który w piwnicy trzymał pod karabinem na korytarzu „Brzozę” i jego znajomego powiedział do nich po cichu:

- Panowie, podsuńcie się bliźutko pod drzwi i słuchajcie wszystko, co on (czyli ja) mówi. Na korytarzu było ciemno, ci przesłuchujący mnie majorowie stali przy zbitych z desek drzwiach, ja odpowiadałem głośno, to można mnie było słyszeć na korytarzu. To mi potem ułatwiło tłumaczenie się. Oni do niczego się nie przyznali, stwierdzili, że mnie po raz pierwszy widzą. Potwierdzili więc moje zeznania.

Po kilku dniach ułatwili mi ucieczkę z Siemiatycz, bo wypuścili mnie papierki zbierać z podwórza. Nie zauważyłem nikogo, by ktoś za mną chodził, obawiałem się więc zasadzki i nie skorzystałem z tej okazji, bo obawiałem się, że gdzieś tam „smalną” mnie z boku.

Po kilku dniach trafiłem do Bielska Podlaskiego. Na powitanie, nie pytając mnie o nic dostałem od razu lanie. Najpierw na dziedzińcu UB, a potem w areszcie.

No ten mój śledczy, to jeszcze był jako taki, względny. Najgorsi jednak

byli ci klawisze, widziałem i jednego śledczego, który przychodził na dół po cywilu. Najgorsze to było, gdy w nocy robili sobie zabawę. Kazali wychodzić z celi na korytarz i pytali się:

- Orzeł biały czy czerwony?

- Biały - ktoś odpowiedział i od razu leją.

- Jaki orzeł? - pytają po chwili.

- Biały.

- Jaki biały? - i znów leją. Wyżywiali się na więźniach. W Bielsku stałem trzy razy po 12 godzin w „słupku”. Żeby lepiej się stało to do środka jeszcze wlewali wodę. Warunki były okropne. Szczury łąziły. Wyżywienie było marne. Jedzenie dawali do puszki po konserwie.

Któregoś razu przywieźli dwóch ludzi z WiN-u: „Gałązka” i „Borowik” (wydaje mi się, że to są pseudonimy a nie nazwiska, chociaż nie mam pewności) ze wsi Milejczyce //. Jak tych ludzi mordowali niewspółmiernie. Mało tego. W nocy wzięli nas, aresztantów, na taką wieżę, żebyśmy popatrzeni jak innych wieszają na dziedzińcu.

- Patrz - zaraz i ty będziesz wisiał - mówili. Powiesili przy mnie wtedy dwóch. „Gałązkę” i „Borowika” to powiesili za związane ręce. Podobno w tym Bielsku, to cała masa grobów jest odkrytych.

20 czy 21 września wywieźli nas do więzienia, ale „Gałązka” i „Borowik” to byli już tylko fragmenty ludzi. Nade mną się znęcali, ale nad nimi gorzej. W Białymstoku początkowo siedzieliśmy

na „pojedynekach”, w celach, w których siedzieli skazani na karę śmierci. Razem ze mną siedział jakiś czas Jan Matuszewski ze wsi Czaje (żyje) // . Też siedział za powiązania z jakąś organizacją. Odsiedział 15 lat. Dwa razy siedział. (Chyba nadal mieszka w Czajach?-J.K.). Wyżywienie w więzieniu w Białymstoku było w tym czasie straszne. Jeszcze gorsze niż w obozie w Rosji. Ludzie aż płakali z głodu. Rano kawa i bochenek chleba na czterech, a czasami chleb dawali dopiero przed obiadem. Czasami dawali sucharki z UNRR-y. Zupę dawali do pudełek po konserwach. Żadnych misek nie było. Kto miał większe to miał lepiej. Często było tak, że jak się podstawilo pudełko, żeby nalać zupę, to po rękach poleciało, a to przecież wrzątek. Puścił pudełko, to w łeb zara chochło dostał i koniec. Jedzenie z głowy. Byli tacy klawiszki jak: Szamrat (Skórzanko go nazywali), Szałyłowicz, Dubikowski // .

Tam się dzieli dantejskie sceny. Nocami wypędzali na korytarz i nie pytając o nazwisko tłukli, to nawet za mało powiedziane. Przecież często jednym uderzeniem człowieka się zabija. Tutaj jednak chodziło o to, żeby zadawać jak najwięcej cierpienia, a jednocześnie nie pozbawić człowieka życia.

Niedługo przed transportem z Białegostoku, jakieś może na dwa tygodnie przed, nastąpiła zmiana naczelnika więzienia. Przyszedł na miejsce starego naczelnika więzienia z Suwałk. Taki nieduży człowiek. Był w stopniu kapitana, bo trzy gwiazdki miał i chodził po wszystkich celach zapoznawać się. Wszedł do naszej celi nr 49 i pyta się:

- A twój jaki stopień? - bo to wszyscy chłopcy w mundurach byli. Porozmawiał chwilę i tak mówi:

- Słuchajcie więźniowie, nie ma litości dla was. Trzeba będzie wykonać wyrok, jeśli sąd tak orzeknie, to wykonamy. Trzeba będzie was wszystkich rozstrzelać, to ręka nikomu nie zadrży. Dla nieposłusznym przewidziane regulaminem więziennym sankcje będą z całą bezwzględnością stosowane. Ale od dnia dzisiejszego zmieni się i to, że na śniadanie otrzymywać będziecie kawę z chlebem, na obiad to co się należy i tak samo na kolację. Skromnie, ale żyć będziecie. Będą przejawy wandalizmu, to proszę krzyczeć, a ja się zjawię nawet w nocy. Na to nie pozwolę, żeby na was się wyżywać. Od dnia dzisiejszego już was nocami tu bić nie będą. I tak się stało. Od pierwszego dnia zmieniło się na lepsze. Już w tej zupie coś było, już puszki po konserwach nie były jednemu malutkie, a drugiemu półlitrowe - wszystkim dali jednakowe. Od razu inny stosunek do więźniów. To był wspaniały pan, ten naczelnik.

Na kuchni i w kartoflarni byli więźniowie. Jeden ze współwięźniów opowiadał, że kiedy słodzili kawę, to wstawiali wiadro do kotła z kawą i jak sypał cukier na środek kotła, to cukier sypał się tylko do wiadra. Kierownik wyciągał wiadro haczykiem i już wszyscy klawiszki mieli dobrą kawę a w kotle jak nie było cukru tak nie było. O dziwo, znaleźli się tacy, którzy powiedzieli o tym naczelnikowi. Przyszedł więc któregoś razu do nich i pyta się:

- Ile jest cukru? - Powiedzieli mu, że tyle i tyle. Kazał nasypać do kotła. Wziął łopatę, zamieszał w kotle, wyciągnął stojące w nim wiadro i posadzał tych wszystkich. M.in. ten Skórzanko się popadł. Tak go nazywali, bo w skórzanej kurtce chodził. Jakies konsekwencje tam w stosunku do nich wyciągnął. Tak, że ten naczelnik nie przejawiał w stosunku do nas litości, ale był człowiekiem.

W Białymstoku nadal brali mnie na przesłuchania. Przyjeżdżali z prokuratury, czy coś. Tym razem jednak już spokojnie było. Pamiętam, że wtenczas siedział „Lew” Piwowarski. Któregoś razu poprowadzili mnie na blok administracyjny na Młynarskiej, rzekomo w celu uzupełnienia depozytu. Każdy - było naz z 6-7-miu - trzymał w ręku swoją kopertę. I tam, stojąc pod ścianą, zwrócony twarzą do ściany, zauważyłem również stojącego pod ścianą „Lwa”. On jednak stał luzem. Był w angielskiej bluzie, ale też trzymał w ręku kopertę. Znałem go dobrze. Stał koło mnie z tyłu i zaczął

provokować do dyskusji mówiąc, że też był w oddziale itd. Odwróciłem się, spojrzałem na niego i powiedziałem:

- Ty zdradziecka mordo.

Jak potem dowiedziałem się „Lew” wówczas był już aresztowany, ale w dalszym ciągu robił to swojo paskudno robote. Chociaż był uwięziony, to jednak miał pewne luzy. Siedział za rabunek. Po chwili roztwierają się drzwi, przechodzi koło mnie Kazimierski z WiN-u i wchodzi do biura de-
pozytów // Drzwi zostawił niedomknięte, więc słyszałem dobrze:

- Nazwisko? - spytała - kobieta.

- Kazimierski Stanisław.

- Miejsce urodzenia?

- Smarklice.

- Pseudonim ?

- Jaki? - spytał Kazimierski - Z bandy czy z wywiadu? - Słucham zdumiony. Przecież on siedzi razem ze mną w celi. Aż ty zarazo - pomyślałem sobie.

- A jaki wywiad? - spytała kobieta.

- Bo ja jestem jednocześnie w wywiadzie Urzędu Bezpieczeństwa - tłumaczył Kazimierski. To był taki zwykły, głupi, chłopak ze wsi tak jak i ja, ale widocznie jeszcze głupszy ode mnie. Chciał się popisać przed nimi, a nie wiedział, że ja stoję za drzwiami i wszystko słyszę.

- Co mnie tam obchodzi wywiad. - Zachnęła się kobieta - Z bandy.

- „Paw”, a z Urzędu Bezpieczeństwa „Bat”.

Ty cholero „Paw” - pomyślałem - Czekaj, ja ci tu dam „Bat”. No i spisali go tam, i poszliśmy do celi. Usiadłem w kącie celi i milczę, jak pustelnik. Udałem, że jestem chory. No, nic go to nie uratowało, że pracował dla UB. Odsiedział wyrok. Po latach spotkałem go. W 53 roku jestem we wsi Kobyla, a on miał tam kuzynów. Dowiedział się, że wróciłem z więzienia. Zaszedłem do Kamińskich i on tam przyszedł. Zobaczył mnie i od razu:

- O, cześć Lutek - i chciał się ze mną pocałować. A ja jaaak mu odwalę z miejsca i mówię:

- „Bat” czy „Paw”? -

- Co? Jaki „Bat”? - zdziwił się mocno. Zaraz poderwał się z ziemi, chcieli go tam bronić, to mu jeszcze jednego strzeliłem (byłem w końcu młodszy od niego z 15 lat) i mówię:

- Ja ci dam „Bat”. Wracając jednak do rzeczy.

21 października miałem rozprawę. Sprawa trwała 2 minuty, nie więcej. Dostałem 8 lat, Celiński (Staliński? Soliński? pochodził ze wsi Wólka Piaseczna, gm. Długosiodło) Zygmunt 12 lat (nie wiem za co go skazano), trzech po 15 lat, a 13-tu na karę śmierci // To była tzw. sprawa „Tygrysa” (Henryk Mieczkowski por. z Krakowa [!!!!?-J.K.] // To byli jego żołnierze. Podlegali dla „Łupaszkii”. Potem siedziałem razem z „Tygrysem” w Białymstoku. Oni mieli taką specjalną misję na Prusach Wschodnich. „Tygrys” był dezertorem z wojska ludowego i chcąc, żeby uwiarygodnić swoją osobę otrzymał specjalne zadanie: jechać w kilku do Olsztyna, do Lidzbarka Warmińskiego i gdzie indziej, i tam wykonać pewne roboty: mieli listy, według których mieli polikwidować konfidentów, którzy pouciekali na Prusy Wschodnie. Wracając z tego zadania w okolicach Łomży zostali zaskoczeni w styczniu 1947 r. i aresztowani. Sprawa rozpoczęła się o 10 na Mickiewicza, a o g. 13 byliśmy już wszyscy w więzieniu.

Po wyroku przenieśli mnie na celę ogólna. Najpierw do celi nr 47, tu czekałem na uprawomoc-

nienie się wyroku, a później do celi 49. Było nas tu 35 do 49 ludzi. Starszym celi był właśnie ten „Tygrys”, o którym wspominałem. On był w pełnym uniformie wojskowym tyle, że bez pasa. Każdy przecież był w tym, w czym został aresztowany. Na celi był raczej spokój. Prycz nie wystarczało dla wszystkich, więc spano po dwóch na pryczy. Siedzieli tu sami Polacy, żadnych innych narodowości nie było. Jedyne jeden miał rosyjskie nazwisko Kosterow, ale on też był w partyzantce.

17 grudnia 1947 r. wywieźli więźniów do innych więzień. W zasadzie odwożono do Wronek i Rawicza, ale na stacji w Płocku zostawili pewną część więźniów. Odłączyli kilka wagonów. Do każdej więźniarki wchodziło po 4 więźniów. Siedzieliśmy ściśnięci. Gdzieś o pierwszej w nocy podjechała pod więźniarkę buda i wyprowadzili mnie i jeszcze dwóch. Zabrali nas i powieźli w nieznane. Dzisiaj, gdyby mnie ktoś spytał, gdzie ja byłem, to powiedziałbym, że nie wiem. Dopiero teraz na rozprawie rehabilitacyjnej dowiedziałem się, że prawdopodobnie byłem w Wawrze. Tego jednak na pewno nie wiem. Jechaliśmy przecież w nocy, buda okna miała zakratowane.

Wśród lasu stał budynek, jakby willa. Trzymali nas w piwnicach, niewielkich komórkach. W swojej celi byłem sam. Na żaden spacer nigdy nie wyprowadzali. Jedyne kibel pozwalali raz w tygodniu wynieść. Cały czas byłem zamknięty.

Dużo nas tu nie było. W tym więzieniu trzymali mnie do wiosny 1949 r. Tu śledztwo było od nowa. Od czasu do czasu przyjeżdżali na przesłuchiwanie. Jak prowadzili na śledztwo, to rzuciłem okiem przez okno na półpiętrze, i chociaż okna były do połowy zamalowane, to jednak zauważyłem, że rosły niedaleko wielkie świerki.

Którejś nocy wzięto mnie, takiego pana Nowotkę (jeden z ubeków zapytał go: Ty, może to jakiś twój kuzyn Marceli Nowotko?) i jeszcze jednego, i zaprowadzili nas wysoko, na piętro, na dużą salę. Po wystroju sali zorientowałem się, że musiał to być albo okres świąt Bożego Narodzenia, albo Nowego Roku 1948 r. ponieważ w kącie stała choinka. Świeczki były parafinowe, bo elektrycznych wtedy jeszcze nie było. To była wielka świetlica. Stoły były kwadratowe, dookoła kręcą się mężczyźni, stawiają na stołach butelki i zagrycha. Na ścianie wisi wielka mapa, przy mapie stoi kijek do pokazywania. Widać, że szykuje się gościna. Nastrój taki elegancki. A my stoimy sobie z boku. W pewnym momencie strażnik mówi do nas:

- Proszę się rozbierać. Do naga. Raz, raz - pogonił. No i rozebraliśmy się.

- Rączki! - padł rozkaz. Wystawiliśmy je do przodu i skuli nas kajdankami.

- Przysiad! - Kucnęliśmy, ręce opadły za kolana, wtedy każdemu z nas trzech pod kolana wsadzili kij, którego końce oparli na dwu taboretach. Jeden z tych dwóch, którzy byli ze mną, to był w moim, obecnym wieku, siwiutki. Widać było, że jest z inteligencji. No i wisimy na tych kijach pomiędzy stołkami, a ci funkcjonariusze chodzą pomiędzy nami. Popatrzyłem na tego starszego pana, który jak i ja był całkowicie goli, i ten widok wydał mi się na tyle śmieszny, chociaż w zasadzie nie było tu z czego się śmiać, że lekko uśmiechnąłem się. Jakoś tak mi to wyszło. Jeden z pilnujących nas natychmiast to zauważył i od razu podszedł do mnie:

- Co ci tak wesoło? - wysyczał z nienawiścią - Taak - dodał złowróźnie i podszedł do stołu. Wziął zimny ogień i zaczął wyginać go na wszystkie strony tak, że masa zaczęła się kruszyć i jej część odpadła. Ja, oczywiście, cały czas z zainteresowaniem przyglądałem się temu co on robi. A ubek zapalił ten zimny ogień i wetknął mi go pomiędzy związane i zaciśnięte na kiju, palce. Stoi i przygląda się, a ogień prysk, prysk i wybuchł mi prosto w twarz. Wtedy ubek jakby irygatorem, taką gruszką jakby, siachnął mnie w usta czymś, jakimś gazem i to mnie zadusiło. Zacząłem harceć, nie mogłem oddychać. Już było po cwaniaku. Ogień zgasł, drut ostygł i wisiał dotąd, aż mnie rozwiązali.

Mało tego było. Ten pan usiadł sobie obok swoich kilkunastu kolegów, zapalił papierosa i zaczął bawić się zgasłą zapałką. Dotąd kręcił pomiędzy palcami jej koniec, że stał się ostry. Wtedy wsadził mi tę zapałkę pod paznokcie palca lewej ręki i dotąd kręcił, aż zapałka wylazła z drugiej strony. Ból jak ból, ruszyć ręką nie mogłem, bo była przywiązana. W tym czasie drugi wziął ten kij, który stał koło mapy i zaczął dotykać nim jądra starszego pana. Taka to zabawa była.

Trudno mi powiedzieć, czy to trwało pół godziny, czy dwie. W końcu oni zaczęli wódkę pić, zrzucili nas z tych kijów, kazali porozwiązywać. Rozwiązali ręce i kazali iść. No, ale nikt nie dał rady, bo to przecież wszystko skostniałe, zbolałe, więc padaliśmy od razu. Nareszcie każdemu kopa dali, każdy zbiera swoje ciuchy i nago pognali na dół. Takie to... Nie pytali o nic. Ja nie kwestionuję, ja czułem, że według prawa popełniłem przestępstwo i kara za to musiała być. Ja też byłem bezpardonowy w stosunku do moich przeciwników, więc uważałem, że oni w stosunku do mnie też mają prawo. Byłem bezwzględny, ale nad tym, który się poddał, to nigdy nie znęcałem się. Jeśli trzeba było go zastrzelić - tak, bo taki był rozkaz, ale żeby się znęcać w jakiś perfidny sposób, to te rzeczy absolutnie potępiałem.

W tej willi siedziałem do wiosny 1949 r. Przez prawie rok siedziałem sam. Nie było żadnego wypuszczania na spacer, wychodzenia do łaźni itd. Koszula, to była tak brudna, że choć ty diabła weź zrób. No to czasami raz na pół roku wrzucili jakiś tam ciuch, a to wszystko było w tym, w czym ich wzięli. Nikt tam nie pytał, czy masz onuce, czy masz but, czy co innego.

To był jedyny wypadek (te „zabawy” przed świętami Bożego Narodzenia), że przez dłuższy czas przebywałem z innymi więźniami. Tak, to co najwyżej mogłem kogoś spotkać na schodach, gdy kogoś sprowadzali na dół, albo prowadzili na górę. To wtedy mogłem tylko rzucić okiem. Do celi to na kopach wrzucali ludzi. Słyszałem jęki tych ludzi. Słyszałem też głosy kobiet.

Cały czas przebywałem w zamknięciu. Tam ludzie przepadali bez wieści. Jak udało mi się czasami zuważyć przez prześwit w oknie, to takich łebków jak ja tam nie było. Przeważnie siedzieli ludzie starsi, wykształceni. Po samym ich ubiorze, można było poznać, że to inteligencja. W stosunku do mnie, to oni mieli tyle materiału, tyle dowodów (tam chyba później „Bimbo” trochę dostarczył...), że ja wyboru nie miałem.

Na śledztwo brali mnie tam czasami po dwóch tygodniach, a czasami jednej nocy dwa razy, innym razem i przez miesiąc nic się nie działo. Oczywiście na takim przesłuchaniu cały czas bito. Aż wierzyć się nie chce, że ci majorowie i kapitanowie - nosili takie dystynkcje - chcieli się tak poniżyć. Cały czas trwała ta „odbijanka”. Mieli takie sposoby, żeby nie uśmiercić, a zadać jak najwięcej cierpień. Na pewno wiele osób zapłaciło życiem przedwcześnie.

W Płocku więźniowie wyglądali jak „mamuty”. Teraz to jest najcięższe więzienie w Polsce. Na czwartym piętrze zrobili jeden oddział dla więźniów specjalnych, wojskowych. Politycznych wtedy przecież oficjalnie nie było. W zaświadczeniu z więzienia w Płocku mam napisane, że do tego więzienia przybyłem 17 grudnia 1947 r., a przecież wtedy ja przybyłem do tej willi. Do Płocka przyjechałem dopiero na wiosnę 1949 r. i dopiero wtedy zorientowałem się jaką porę roku mam: czy to lato, czy to zima.

Któregoś dnia, późną jesienią 1951 r., gdzieś o 2 po południu wzięli mnie i jeszcze kilku, i zaprowadzili na blok administracyjny. Jak to mówio: do „specy” wzięli. Każdy bał się tego. Wszedłem do pokoju. Patrzę, szafy pancerne stojo. Podchodzę do biurka. No i zaczyna mnie pytać:

- Kogo w domu masz? Ojca, matkę? Ty taki porządny chłop, lato już, to wyjść już trzeba by.
- Ja, stary więzień, z góry wiedziałem już co jest grane.
- Ty, ty tak dużo wiesz - kontynuuje śledczy - miałeś łączność z tym, co tam sobie będziesz

żałować, oni ciebie nie żałują, ale ty myślisz tu nam coś tego... . Podpiszesz zobowiązanie, będziemy współpracować, pójdziesz do domu. Masz starych rodziców, widzisz, byłeś tylko jeden w domu, pomożesz im. - Taki tam obiecanki mi robił. Nic nie mówiłem. Zamknąłem oczy i siedzę.

- Co! Ty mówić nie umiesz! - już mnie na krzyk i na strach próbuje brać. Bić nie bili. O godz. 11 wyprowadzili mnie z tego pokoju i już nie prowadzą do celi tylko na karny blok. Zaprowadzili na piętro. O godz. 5 rano (myślę, że o 5-tej, bo przecież zegarka nie miałem, w każdym bądź razie ciemno jeszcze było) przynieśli mnie kawałek chleba i kawy w pudełku po konserwie. Dali zjeść i strażnik mówi:

- Chodź. - Chciało im się wstawać o tej porze. Znowu od 5-tej rano do 11-tej siedziałem u „specy”. Zmieniali się cały czas. Pamiętam ich nazwiska: Dyszkiewicz, Łaguna, Skrzynecki, Pryśnik. Dyszkiewicz podobno mieszka w Suwałkach, bo jeden z więźniów - Suwałowski (w innym miejscu podaje te nazwisko jako - Sobolewski?) Aleksander - rozpoznał go. Jego Józikiem nazywali, bo on mowę miał tak cjenko. Suwałowski mieszka w Suwałkach. Nawet pamiętam jego adres - Suwałki, ul. Zarzeczce Zielone // . Ja się nikomu nie dziwię i żadnemu przełożonemu, który postępuje według prawa, ale ściska się, wyżywać na ludziach - nie wolno. Eee, to chamy byli. Takie z gruntu. Bezcelne ludzie.

O 11-tej znowu na górę. Na drugi dzień to samo. Na trzeci to samo. Całe trzy doby. Jak to mówią: jak trwoga to do Boga, a więc i ja modliłem się: Boże daj moc, daj siłę, daj wytrwanie, żebym się nie załamał. Bożę kochany dopomóż. Może z tysiąc różańców zmówiłem w myślach w tym czasie i cały czas siedzę z zamkniętymi oczami. Tyle siedzę - myślę sobie - i żebym ja tu... .

- Ja tu umrę, ja chory jestem - mówię. W tym czasie rzeczywiście miałem taki suchy bronichit. A oni cały czas próbują mnie przekonać.

- Dobra - w końcu mówi jeden i dał mi kartkę - pisz zobowiązanie. Jak tylko usłyszałem słowo: zobowiązanie - od razu upuściłem pióro. Oczywiście bardzo grzecznie. Więzień musiał uważać na takie sprawy. Jak ten na mnie nie wrzaśnie:

- Piiisz!!! Gnojku jeden! Nie znasz treści, a już rzucasz!?! - no i zakrzyczał mnie. Piszę ja te zobowiązanie. Dyktuje mi:

- Ja, więzień karny więzienia w Płocku, Deniziak Lucjan, zobowiązuję się do zachowania ścisłej tajemnicy, tak w czasie pobytu w więzieniu jak i na wolności o tym co usłyszałem w dziale „spec”. I mój podpis. Podpisałem. Gdzieś tam leży w moich aktach. Potem zaprowadzili mnie do celi.

W celi razem ze mną siedział też ksiądz: Eligiusz Kupka (pochodził gdzieś od Krakowa, studia kończył w Padwie, we Włoszech, dostał 12 lat za organizację), coś tam ze „specem”... (miał-J.K.) // . Wszedłem do celi i nic się nie odzywam, a oni mnie nie pytają. Sami wiedzą. Tam wielkiego zaufania (pomiędzy współwięźniami-J.K.) to nie było.

Niedługo potem, dzień przed Bożym Narodzeniem, przyszedł strażnik i mówi:

- Deniziak! Wychodź! - Wychodze ja. Jeszcze takiego drugiego wzięli, starszego i jeszcze kilku. Trzech czy czterech nas było. Nie pamiętam. I do piwnicy, do karceru. Niebieskie światelko zapaliło się nad drzwiami zanim zamknęły się nad nami. Na korytarzu jeszcze kazali nam wszystko zdjąć i całkowicie gołych do karceru. Cella była nieduża, sufit równy ale przy wejściu do celi od podłogi do sufitu było 1,5 m, a w drugim końcu 2 m. Takio spadek. W tym dole wody napuszczane. Kibel przymocowany w rogu. Miał takie wstawki betonowane przy brzegu. Oczywiście brak najmniejszego światła. Okna nie ma. Całkowita ciemność. Światło strażnik zapalał tylko na chwilę, żeby sprawdzić co dzieje się w celi. Po niedługim czasie każdy próbował gdzieś usiąść, ale gdzie. Woda zimna, po

ścianach leci. Na górze, tam gdzie sucho, jak chcesz stać, to za to jesteś zgięty we dwoje. Chcesz się wyprostować, to leż do wody po kolana.

Minął dzień - dalej siedzim. Wieczorem Wigilia. Dalej siedzim. Ale przez cały czas nie rozmawiamy pomiędzy sobą. Każdy sam sobie siedzi. Ja byłem najmłodszy z nich.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia - siedzim. Drugi dzień Bożego Narodzenia - siedzim. Pamiętam przed wieczór, no skąd ja tam mogłem wiedzieć czy to dzień, czy noc ale jak roztworzył celę, to słyszałem okrzyk na korytarzu:

- Oddział bacność! - bo jak przychodzi do więzienia naczelnik albo przodownik, to wszyscy więźniowie są obowiązani stawać na bacność w celach. No, my powstawali i stoim w tej wodzie. Stałem z przodu, to powiedzieli:

- Ty będziesz meldował. - Słysząc jak po kolei otwierają drzwi cel. Nasza była ostatnia. W końcu i nasze otwierają się:

- Naczelnik wchodzi - powiedział strażnik. Pamiętam naczelnikiem był wtedy taki Ignaczak. Stał w progu a ja melduję:

- Obywatelu naczelniku, więzień karny Deniziak Lucjan melduje stan więźniów w karczerze trzech. Wszyscy obecni. - Spojrzał:

- I za co to? - rzucił energicznie pytanie. Chciałem coś tłumaczyć, ale w tym momencie coś we mnie się załamało. Po raz pierwszy w życiu, a być może i po raz ostatni, wyzwolił się we mnie żal jakiś, którego opisać nie mogę. Chowałem do grobu i mamę, i tatę, to też jakieś momenty tragiczne, ale to nie jest współmierne do tego, ja nie umiem określić tego żalu jaki się we mnie wtedy wyzwolił. W każdym bądź razie w tym momencie padłem na kolana i zacząłem ogromnie płakać. Tyle rozżalenia się we mnie nagromadziło. Padłem, jakby mnie ktoś podciął, niemal odruchowo. Zalałem się łzami. Naczelnik spojrział na mnie i powiedział przez ramię do strażnika:

- Zamknąć drzwi. - Strażnik zamknął drzwi. Po chwili usłyszeliśmy jego rozkaz:

- Oddział spocznij! - Brzęk, krata się otworzyła, to naczelnik poszedł. Po chwili brzęk i otwierają się drzwi naszej celi.

- Wychodź, wychodź - mówi strażnik zadowolonym głosem - bo pan naczelnik amnestii wam udzielił. Skrócił wam karę. - W pierwszej chwili chciałem powiedzieć: Bez łaski - bo już wiedziałem, że mam trzy doby siedzieć (tyle co mnie trzymali u „specy”) i do końca zostały mi tylko dwie godziny, i tak się cofnąłem raptownie do tyłu, ale strażnik - to dobry człowiek był - zauważył mój ruch i mówi:

- Słuchaj, kochany, ty wyłaż i nic nie gadaj - mądry człowiek był. Ja tam wtedy miał te 24 lata, to gówniarz dla niego. Wyszliśmy więc razem, pozakładaliśmy ciuchy, na nogi te tzw. kłapy, czyli drewniaki. Zaszedłem na swoje cele, a tam dalej ci sami koledzy: Eligiusz Kupka, Janek Kosmański - z Łodzi, przerzucał się przez granicę, miał tam jakieś kontakty, Serek Jerzy ze Skarżyska Kamiennego - też miał 15 lat, Słonimski z Warszawy. On na pewno już nie żyje, bo stary był, i Grabowski // . Wszedłem do celi i dopiero teraz zobaczyłem, że jestem cały czarny, czarny jak węgiel. Tylko białka oczu, paznokcie i zęby były żółte jak najżółciejsze jajko. To przez tydzień czasu mnie to schodziło. Ciało bledło, bledło zanim przybrało normalny kształt. Nawet nie podali mi przyczyny, dla której znalazłem się w karcu. To panowie Dyszkiewicz i Skrzynecki byli tacy wspańiałomyślni.

W 1952 r. dali nam w drodze wyjątku gazety. To była „Trybuna Ludu”. Pamiętam datę: 18 grudnia. Wziąłem gazetę i czytam: W porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych Delegatura WiN-u

na Kraj w postaci pana Pawła Jasienicy i jeszcze kogoś wydała wszystkie patrole podległe swoim rozkazom dla Urzędu Bezpieczeństwa i 1 100 000 dolarów na Skarb Państwa. Od tej chwili nastąpił zmierzch reakcyjnego podziemia na terenie Polski. - Oczywiście artykuł był większy. Przeczytałem i skostniałem. Pomyślałem: O Jezu kochany. Co to będzie? Jasienica w 1945, 1946 cały czas był przy „Łupaszcze”. To był człowiek wartościowy. Znałem go. W domu mam nawet jego zdjęcie. No i pomyślałem: Czyżby on...?

13 stycznia przychodzi do mnie i mówi:

- Jesteście wolni. Zbierać się i rozliczyć się w administracji. Do ostatniej chwili nie wierzyłem, że to prawda. Wtenczas jakaś amnestia była, czy coś. Nie wiem.

Dostałem ten swój mundur. Naramienniki poobryzane, ja zmaltretowany, ostrzyżony. Nie miałem biletu. Mnie dali parę złotych, ale nie chciałem kupić. Miałem przecież zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia. Wszyscy jednak jakoś tolerancyjnie do mnie podeszli. Ludzie od razu poznali kto ja. Jakaś dziewczyna nawet zaczęła ze mną rozmawiać.

Styczeń. Mróz. Człowiek spuchnięty. Brzuch miałem wzdęty jak balon z głodu. Byłem ogromnie chory wtenczas. Kaszlałem. Sam nie wiem co to było. Przyjechałem wieczorem. Zaraz zameldowałem się na posterunku. Przyjeżdżam ja wieczorem do domu. Ledwie się dopchał, bo na kolonii mieszkałem. Pukam do okna:

- Proszę otworzyć.

- Kto? - słyszę głos mamy.

- Proszę otworzyć?

- Ale kto? Ja nie mogę otworzyć panu, bo ja tu sama kobita mieszkam, a mąż poszedł do sąsiadów na kolonii. Ja nie otworzę panu. - Wreszcie mówię:

- Mamu wpuść, tu Lutek. - O Jezu kochany. Mama zaraz w płacz. Ojciec zaraz przyszedł. A ja od razu pytam się:

- Gdzie mój erkaem? W tamtym krzaku leżał. (to był mój zapasowy).

- Idź ty! - krzyknęła mama - To wszystko spalone. Synuś kochany, drogi. Dobrze, że wróciłeś. Ja przez tyle lat ciebie nie widziałam. Co tu się robi, dziecko kochane - mówi - Ludzi setki naaresztowane. Pełno wojska i UB. - I okazuje się, że w marcu 1953 r. na sesji wyjazdowej w Ciechanowcu odbywa się proces pokazowy grupy „Zygmunta”. Razem z nimi był tam i ten „Mościcki”, co chodził ze mną u „Wydry”. Aresztowano też wszystkich współpracowników, którzy udzielali im pomocy. Większość tych, którzy nie przechowywali broni zwolniono, bo nie było sposobu wszystkich osądzić. Były to przecież setki ludzi. Proces trwał z tydzień czasu i ja zdecydowałem się tam iść, ale mama, która miała ogromny wpływ na mnie powiedziała:

- Słuchaj synku, nie idź. Jak ty będziesz mógł patrzeć na swoich kolegów. Toć z Kazikiem się wychowałeś. A „Mościcki”? No jak to? Będziesz patrzył mu w oczy? Ich wszystkich znałeś. Nie idź. - Kazik Parzono „Zygmunt” (sądzony razem z „Huzarem”) mieszkał po sąsiedzku w Leśnikach oddalonych od mojej wsi o 2 km, a Aleksander Marchel „Mościcki” - który był razem ze mną u „Wydry” - pochodził ze wsi Pełchy //. Znałem go bardzo dobrze. On i „Dumny” pochodzili z Pełch. Chodziło o to, że ja teraz jestem na wolności jak ich będą sądzić i jeszcze mogliby powziąć o mnie błędne przekonanie. No i nie poszedłem. Wszyscy zostali skazani na kary śmierci, tylko Kostro został ulaskawiony, bo nie miał „mokrej roboty”. Tego Kostry wtedy to nawet i nie znałem.

Nawet jak z więzienia wychodziłem, to nie wierzyłem. Myślałem, że może mnie tylko wypro-

wadzo za brame i znów gdzieś do diabła powiozo. Aż do roku 1989, 1990 to tajemnic tych nigdy oficjalnie nikomu nie mówiłem, nawet wobec żony. Tylko dla taty kiedyś powiedziałem, a tak z nikim tym się nie dzieliłem, bo czułem lęk. Ten bagaż jeszcze i dzisiaj jest. Wszystkie i tak zrzucić z siebie nie mogę. Nadal mnie jednak dziwi, że tacy ludzie, że takie piekło może człowiek zgotować dla człowieka. Oczywiście trzeba stwierdzić, że w więzieniu byli i bardzo porządni ludzie, a najgorsi to byli więźniowie. Ci, którzy byli „kapami”, to byli najgorsze stworzenia, bo za byle słowo czepiali się. Siedzi taki i prowokuje. To na Stalina, to na diabła coś powiesz, zaraz szed do „spec”. On tu, bracie, ostatnim zapalkiem, skretem, podzieli się w celi, a w nim diabeł siedzi. Ten Jurek ze Skarżyska to był kapuś, ale on mnie z miejsca powiedział:

- Ty wiesz co? Ciebie mnie dali do rozpracowania. - Tak jakoś mnie zrozumiał.

- Dziękuję za gest uprzejmości - powiedziałem. Nic więcej nie mogłem mu powiedzieć.

Jak wychodziłem z więzienia, to ten „spec” Łaguna mówi do mnie takim pewnym siebie głosem:

- To cooo? Mówiliście, że umrzecie. Nie umarliście.

- No to chciałby pan, żebym umarł? Umrę i pan umrze. - Dopóki do domu nie przyjechałem, to cały czas liczyłem się z tym, że to mogę „tam” wrócić w każdej chwili. Wiedziałem, że jedno słowo i wracam z powrotem.

Po latach, w 1953 albo 1954 r., przyjechał do mnie por. „Brzoza”, ten z WiN-u, który razem ze mną był aresztowany. Dowiedział się, że wróciłem i przyszedł. Przywitaliśmy się jak wielcy przyjaciele i mówi:

- Lutek. Ja wszystko słyszałem, co ty zeznawałeś. Specjalnie strażnik kazał podsunąć się pod drzwi, żebyśmy wszystko wysłuchali i tylko dzięki temu wiedzieliśmy jak się tłumaczyć. - Okazało się, że po dwóch tygodniach zwolnili ich obydwu do domu. Nie mniej jednak dwa lata później, po moim aresztowaniu, popadł się i dostał 5 lat. Od tej pory, gdy do mnie przyjechał po moim wyjściu na wolność, więcej już go nie spotkałem.

Ja byłem pierwszy z oddziału, który popadł się do UB po amnestii. W moich aktach nie ma nic [z moich zeznań]. Tym się chlubię i jadę kiedy chcę i nikt mnie nic nie zarzuci. Oni (UB) dali najprawdopodobniej - to takie moje domniemanie - telegram do UB w Bielsku Podlaskim, że mają mnie. Kazano zamknąć mnie do celi i absolutnie nie pozwolili nikomu wchodzić, aż przyjedzie ktoś, kto ma upoważnienie do przesłuchania mnie. Przyjechał zastępca szefa UB z Bielska Podlaskiego i przesłuchiwał mnie. Okazało się, że to był nasz człowiek. Dopiero „Twardy” mnie powiedział, a „Twardy” był w obstawie płk. „Błękit”, że natychmiast posłali... - jakimi kanałami, to tego nie wiem - ale ten z-ca szefa UB to lepiej był zorientowany [w naszych sprawach] jak ja.

Muszę powiedzieć, że przez te wszystkie lata unikałem jakichkolwiek rozmów na ten temat. Byłem jak głuchoniemy. Liczyłem się z ewentualnością, że jeszcze pewne sprawy wyjdą na światło dzienne. Byłem zadowolony z tego, że dosyć delikatnie przeszedłem koło mojej sprawy i nikt nie widział mego aktu oskarżenia. To wszystko dzięki temu kapitanowi, który tak pokierował moją sprawą. Oni bali się o swoją skórę a nie o moją - przy aresztowaniu rzecz jasna, kiedy ja wpadłem. W innym wypadku pewnie dostałbym w łeb. Może bali by się, że nie wytrzymam i sypnę. Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedziałem się od „Twardego”, że oni zastanawiali się jeszcze nad ewentualnością, czy mnie nie trzasnąć. Ja się żeniłem w 1954 r. a oni jeszcze myśleli, czy by mnie nie sprzątnąć. Jeździłem specjalnie po terenie, żeby nawiązać z nimi kontakt, ale zbyt ostro podszedłem do sprawy, a oni obserwowali każdy mój krok. A ja znowu nałożyłem swo mudnur i chodziłem po

terenie niczego nie bojąc się, ostro. A to dla nich wydało się podejrzane. Jakoś jednak to wszystko wyszło.

Po wyjściu z więzienia udałem się m.in. na jeden z naszych kontaktów na kol. wsi Mostwin, gm. Wyszki (k. Topczewa), pow. Bielsk Podlaski, do pana Olszewskiego. Jak się dowiedziałem w 1948 r. zginęło tu kilku naszych, m.in. zginął „Kometa” a „Wróbel” został ciężko ranny // Przewieźli go do Białegostoku. Po rozprawie wyrok został wykonany. Po tej walce zostało tylko pogorzelisko z domów, bo oni przecież bronili się. Pani Olszewska pokazywała mi to wszystko, gdzie który dostał. Ich tam wtedy z 7 zostało zabitych. Olszewscy już nie żyją, ale pewnie ich dzieci tak. U Olszewskich to był nasz dobry punkt. Nawet ćwiczenia żeśmy tam prowadzili, bo tam dobre układy mieliśmy.

. ppor. Józef Glaser - Niemiec sudecki i Fritz Schlingenhof z SS. Glaser był oddziale WiN-u Wąsowicza „Boruty” do roku 1947 r.

. konfidentką była elegancka pani Chendoszko. Jej syn był w Schutzpolizei. Pochodzili z Ciechanowca.

. nauczyciela pana Michowicza z Wileńszczyzny - dowódca siatki w Wojtkowicach w 1943 r.

. Robert Kreczman

. oddziale WiN-u Wąsowicza „Boruty” do roku 1947 r.

. Szczęsny (łącznik?) z Tworkowic. Potem 15 lat dostał. Był sądzony w Warszawie.

1. Osa” został zastrzelony przez Edwarda Piwowarskiego ps. „Lew” i przeszedł na stronę UB. Razem z nim był Kazimierzak „Jaszczur”./

. Lucjan i Zygmunt Marchel, którzy po kilku dniach zostali rozstrzelani. Zygmunt był kiedyś w oddziale u „Bitnego” (miał pseudonim „Sternik”),

. członek organizacji Stanisław Kamiński.

. Stanisław Kamiński, który pochodzi ze wsi Sterdyń.

. Stanisław Dmochowski ze wsi Ślepowrony.

. Aleksander Dmochowski - ze wsi Dmoszki k. Bogut, przechowywał rannych żołnierzy NZW.

Opiekował się tam nami lekarz z Ciechanowca Paweł Olszewski.

. W Pasłęku mieszka nasza sanitariuszka, żona Staśka Niewiarowskiego, Zosia Lipska.

„Dumny” - Jan Zabuski z Pełch, „Arkadek” pochodził z Pełch jak i „Mościcki” - Marchel Aleksander.

. Łącznikiem „Burego” był Jan Grzeszczuk. Jego syn jest księdzem chyba we wsi Gnaty-Soczewka.

. „Pal”, na imię miał Broniek.

. Zaraz niedługo potem „Cichy” i „Śmiały” zginęli w Wyszonkach. Byli w patrolu. A my w tym czasie byliśmy u Kopciów w Gnatach.

. „Kruk”. W o-le od sierpnia 47 r.

. „Huragan” z Łap, zginął. W o-le od sierpnia 47 r.

. „Płomień”, to pochodził gdzieś od Częstochowy. To dezerter z wojska był. W 1946 r. do oddziału

„Rekina” wstąpił. Zginął razem ze „Skowronkiem” 24 czerwca 1947 r. na św. Jana w Grannem, w czasie odpustu.

- . „Zajac”
- . „Bierut”
- . siostra „Bitnego” podejrzewana bezpodstawnie o wsp. z UB.
- . „Stal” - żyje, rozpił się. Byłem teraz u niego.
- . „Węgorz”
- . zlikwidowali w 1948 Uszyńskiego Gieńka. To był nasz główny łącznik. Mieszkał w Uszy Małej.
- . Jan Sawin „Wiewiórka”
- . Albin Kierzun „Młodzik” z Wilna.
- . Gienek Kamiński, syn Kazimierza z Wojtkowic - zabili go w 1948 r. „Wróbel” go zabił za współpracę z UB.
- . we wsi Ślepowrony, moja drużyna (12 ludzi) kwaterowała u pana Grodzkiego
- . łącznika z okręgu warszawskiego WiN-u o ps. „Brzoza” - Mosiejczuk Mieczysław.
- . Karpińskiego Kazimierza - czł. siatki?
- . „Gałązka” i „Borowik” (wydaje mi się, że to są pseudonimy a nie nazwiska, chociaż nie mam pewności) ze wsi Milejczyce.
- . Jan Matuszewski ze wsi Czaje (żyje)- Razem ze mną siedział jakiś czas w Białymstoku
- . klawisze w więzieniu w B-stoku w 1947 r.: Szamrat (Skórzanko go nazywali), Szatyłowicz, Dubikowski.
- 13. Kazimierski Stanisław ze Smarklic z WiN-u „Paw”, agent UB, siedział ze mną.
- . Celiński (Staliński? Soliński? pochodził ze wsi Wólka Piaseczna, gm. Długosiodło) Zygmunt 12 lat (nie wiem za co go skazano),
- . sprawa „Tygrysa” (Henryk Mieczkowski por. z Krakowa [!!!??-J.K.]). To byli jego żołnierze. Podlegali dla „Łupaszkii”
- . Dyszkewicz, Łaguna, Skrzynecki, Pryśnik - spece w więzieniu w Płocku. Suwałowski (w innym miejscu podaje te nazwisko jako - Sobolewski?) Aleksander - rozpoznał Dyszkewicza jako suwałszanina. Sam też mieszka w Suwałkach.
- . ksiądz: Eligiusz Kupka - siedział z D. z Płocku.
- . Janek Kosmański - z Łodzi, przerzucał się przez granicę, miał tam jakieś kontakty, Serek Jerzy ze Skarżyska Kamiennego - też miał 15 lat (kapuś, przyznał się D. do tego), Słonimski z Warszawy. On na pewno już nie żyje, bo stary był, i Grabowski - współwięźniowie D. w celi więzienia w Płocku.
- . Kazik Parzono „Zygmunt” (sądzony razem z „Huzarem”). Mieszkał po sąsiedzku w Leśnikach oddalonych od mojej wsi o 2 km, a Jan Mościcki - który był razem ze mną u „Wydry” - pochodził ze wsi Pełchy.
- . Olszewski - zam. kol. wsi Mostwin, gm. Wyszki (k. Topczewa), pow. Bielsk Podlaski, Jak się dowiedziałem w 1948 r. zginęło tu kilku naszych, m.in. zginął „Kometa” a „Wróbel” został ciężko ranny.

Spisot Jerzy Kuczek -